

Nr 2 (49)
2012



ISSN 1732-1069



PEGAZ LUBUSKI

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. ZBIGNIEWA HERBERTA
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH - ODDZIAŁ W GORZOWIE WLKP.

W numerze:

RELACJA

Agnieszki
Kopaczyńskiej-
Moskaluk
z I Festiwalu im.
Kazimierza Furmana

*

Wiersze laureatów
festiwalowych
konkursów

*

DEKALOG DOBREGO WIERSZA (II)

Leszka
Żulińskiego

*

JUBILEUSZE POETÓW

Jerzego Hajdugi
i Janusza
Krzymińskiego

*

PREMIERY KSIĄŻEK PISARZY GORZOWSKICH

Lucji Fice
Edwarda Dębickiego
Ludwika I.
Lipnickiego
Anny Strzelec
Stefana
Wiernowolskiego
Wincentego
Zdzitowieckiego

*

Nowe wiersze poetów gorzowskich
oraz satyryki, fraszki, groteski i wiele
innych literariów lubuskich.

Ferdynand Głodzik

Oda do bociana

Narodowe masz barwy, puch twój biały
choć marny
stąpasz w butach czerwonych
po polach,
w twoich skrzydłach szerokich
jest też sporo piór czarnych,
zatem z ciebie prawdziwy jest Polak!

Powrót twój z zimowiska
zawsze niesie nam wiosnę,
gdy namiętych uniesień jest pora,
właśnie wtedy kochanków zjednoczenie
miłosne
w ryczącego przemienia bachora!

Zastępujesz nam media,
co we łbach czynią zamęt,
gwarzysz z nami dni całe i noce,
wołę ciebie posłuchać, po co ten
abonament,
skoro ty nam za darmo klekocesz.

Twardo stąpasz po ziemi albo bujasz
w przestworzach,
mieszkasz w gnieździe na lipie,
za sadem.

Ci, co marzą o Polsce, tej od morza
do morza,
iść powinni
za twoim
przykładem.



Marek Grewling

CHOROBY POLSKIEJ DUSZY

Gdy siadam do pisania tego felietonu, w najlepsze trwają Mistrzostwa Europy w Piłce Nożnej Mężczyzn – tak bowiem brzmi pełna nazwa tej imprezy sportowej. Miałem serdeczną chęć pominąć milczeniem igrzyska, jednak fakt, że tym razem Mistrzostwa organizują wspólnie Polska i Ukraina, prowokuje do refleksji. Dzisiaj jeszcze nie wiemy, jaki będzie rezultat rozgrywek i które miejsce zajmą Polacy. Jednak rodacy jak dotąd są dobrej myśli, przewidują przejście „naszych” do kolejnej rundy. Dają temu wyraz, wywieszając na samochodach biało-czerwone proporce, ozdabiając balkony, płoty i okna narodowymi barwami, które w tym przypadku wzbogacone są o logo wielkiej firmy browarniczej. Ale nie czepiajmy się detali, grunt, że duch w narodzie odżył. Nie wiemy, ile ugra polska reprezentacja, jednak nadzieja uskrzydla społeczeństwo. I bardzo dobrze, wreszcie można na parę dni odetchnąć od tego, czym nas karmią rodzimi politycy w codziennych awanturach. Do tego dochodzi nasza duma narodowa. Wreszcie można się pochwalić jakimiś sensownymi połączeniami drogowymi, pokazać nienajgorsze zaplecze, hotele, dworce kolejowe, stadiony, po prostu pokazać kraj, który nie jest wprawdzie czwartym mocarstwem Europy, jednak niewątpliwie z konsekwencją wychodzi z zacofania i krok po kroku stara się wspólnym wysiłkiem wszystkich Polaków stać się nowoczesnym państwem tej części kontynentu.

EUROBUTY

Do futbolowego szaleństwa, które ogarnęło w czerwcu moją ojczyznę, i ja dorzucę swoje trzy grosze: buty! W „piłce nożnej” najważniejsza ponoć jest piłka. Ale cóż by ona znaczyła w meczu, gdyby nie 22 pary butów uzbrojonych w plastikowe korki? Z każdym sezonem coraz bardziej wymyślne, eleganckie, różowe na piętach, niebieskie na czubach. Te buty to połączenie niezwyklej stylistyki, najwyższej jakości skóry oraz wytrzymałej konstrukcji, która zapewnia wyszkolonym zawodnikom niedościgniony kontakt z piłką. Model, na przykład, Tiempo Legend IV Elite zawdzięcza to wyjątkowemu układowi szwów oraz kangurzej skórze najwyższej jakości, których połączenie zapewnia wygodę i doskonale wycucie piłki. Jaskrawopomarańczowa grafika sprawia, że pozostali zawodnicy mogą szybciej zauważyć partnera i zagrać piłkę w tempo. Te buty wyposażono także w nową wkładkę, która oferuje lepszą amortyzację, nie ulegając odkształceniom, co zapewnia lepszą stabilność i pozwala uniknąć w starciu z przeciwnikiem kontuzji. Na lekkiej podeszwie umieszczono korki w konfiguracji, która zapewnia lepsze dopasowanie i wsparcie, co z kolei poprawia przyczepność, komfort i stabilność. Tymi butami można kopać piłkę, ale najlepiej piłkarza z przeciwnej drużyny, który odważy się zjawić w ich zasięgu. Na jedno kopnięcie piłki w światło bramki przypada średnio pięć „haków”, siedem kostek, pięć dziur w piszczelach i co najmniej jedno podbite oko i dwie odbite nerki. Czasem zauważy to sędzia, odgwiżdże „wolnego” i pokaże żółtą kartkę, a czerwona bramkarzowi, co ośmieli się zbyt ofiarnie, jak nieszczęsny Szczęsny, bronić własnej bramki. Za moich młodych lat, kiedy chodziłem na mecze, nawet amatorzy umieli z każdej strony „okiwać”, a nie wyeliminować z gry przeciwnika. Buty były skórzane, ciężkie i z „korkami” z prawdziwego korka. UEFA nie umie wprowadzić zakazu zbliżania się graczy do siebie na odległość przynajmniej metra lub innego przepisu, żeby mecze były widowiskiem, a nie wojną, w której co chwila gwizdek sędziego animuje kolejne skręcające się z bólu boiskowe „trupcy”. „Oni” kopią „Naszych”, to i „My” „Ich”. A potem nasi kibole biją ich kiboli, także poza stadionem, a ich kibole biją naszych i co gorsza nierzadko prawdziwych kibiców, jak i zwykłych przechodniów, co wyszli z kina lub teatru... PEŁNA KULTURA! Z trudem znoszę transmisje piłkarskich zapasów na drogiej importowanej murawie, na stadionach wzniesionych za miliardy euro. Ale oglądam je jak „wszyscy”, poddany amokowi pierwszej, tak wielkiej, sportowej imprezy w naszym biednym kraju. Za te pieniądze można by było wnieść i przez wiele lat utrzymywać brakujące w większości miast średniej wielkości teatry, filharmonie, hale i boiska sportowe, fundować stypendia dla twórców oraz organizować ich dziełom promocję na świecie. Nie wiem tylko, kogo jeszcze z ludzi powołanych do rządzenia obchodzi pełna kultura: wysoka, średnia i ta niska – na murawie boiska. Jest porzekadło, że jak Bóg chce kogoś pokarać, to mu rozum najpierw odbiera. A jeśli je nieco zmodyfikować, to można powiedzieć, że gdy chce ukarać dużą grupę ludzi, to ją ogłupia przy wyborczych urnach. Módlcie się „biało-czerwoni” o rozum, bo o pieniądze już za późno. Co poszło w eurobuty, już „se ne wrati”.

Ireneusz K. Szmidt

cd. ze str. 1

Mnie jednak niepokoi ta polska dusza nieszczęsna, genetycznie obciążona mitomanią. Jak pada remis, to dla nas jest on „zwyćskim remisem”, jak do naszej bramki wpada gol, a krótko mówiąc przegrywamy, to okazuje się, że to spisek pogody, złej konfiguracji zawodników i ich słabej psychiki w tym akurat meczu.

Maniakalno-depresyjne nastroje mają u nas, niestety, wymiar społeczny – wystarczy tylko posłuchać projekcji dziennikarzy wróżących na przykład naszej jedenastce walkę w finale czy lekceważące opinie o przyszłych przeciwnikach. Zachłystywanie się cudem polskich autostrad i pokonaniem kryzysu do tego stopnia, że ponoć staliśmy się już jedynym sensownym partnerem gospodarczym dla potężnych Niemiec. Stawianie polskiej gospodarki jako przykładu świetnej organizacji i tym podobne. W praktyce codziennej maniakalni rodacy zaczynają szaleć swoimi dziesięcioletnimi samochodami, nie bacząc na żadne przepisy ani na zasady zdrowego rozsądku, często na pograniczu bandytyzmu drogowego. Nasi rodzimi maniacy organizują się w bandyckie zespoły, zwane kibicami, a niemające nic wspólnego ze sportem, zaś prędeż z brunatnymi koszulami. Ale ten bakcył mieszka nie tylko w prymitywnych hordach pseudomiłośników sportu. Wielu, nawet nie spodziewamy się jak wielu – nierzadko należących do elit społecznych, dobrze wykształconych i jeszcze lepiej zindoktrynowanych Polaków zarażonych jest wirusem maniakalnym. Tacy ludzie są przekonani, że winę za całą naszą bolesną historię ponoszą wszyscy wrogowie dzielnych synów naszego narodu. Kto jest wrogiem polskich maniaków? Określenie „wróg” jest bardzo pojemne. Perfekcyjnie wykorzystywał je towarzysz Dżugaszwili – też maniak, choć z innej bajki. Kto więc „wróg”? Ano, każdy, kto jest inny od naszych. A dojdź teraz, którzy to „nasi”? Proste – „nasi” myślą i mówią tak jak my. Przypomnieć warto antyutopię Eugeniusza Zamiatina „My” z 1921 r. „Nie ma ja, jesteśmy my” i „Wyobraźnia jest najgorszą z chorób”. Pragnę ukazać na tym przykładzie, jak bardzo stan rodaka maniaka ociera się o dramat antyutopii. Wrogiem jest każdy „inny” w najszerszym słowa znaczeniu. Dlatego główny postulat mieszkańców antyutopii sprowadza się do walki z „innym” (to wersja łagodna), czy też wręcz do wyeliminowania „innych” (wersja docelowa). Eliminacja nie musi być fizyczna. „Inny” ma po prostu milczeć. Człowiek, który bywa czasami „inny”, boi się. Mnie się też to zdarza. Niestety coraz częściej.

Z drugiej strony mamy depresyjną odmianę Polaków. Mówią: „To nie może się udać”. W ich wyobrażeniu drogi powstały „na niby” i rozlecą się po roku, stadiony za miesiąc nikomu nie będą potrzebne, a jakiegokolwiek sukcesy w wymiarze społecznym czy gospodarczym są potiomkinowskimi wioskami wznoszonymi na zamówienie propagandy. Są przekonani, że nasza polityka to ciągłe oddawanie pola obcym, zaś sama Polska od początku przemian jest niesuwerenna. Depresyjnych cechuje brak wiary w możliwość postępu. Do tego nie potrafią przedstawić sensownego planu docelowego. Jedyne, czym zwracają uwagę na siebie, to postępowanie każdego kroku czynionego w kierunku postępu. Nawet jeśli chodzi o sprawę emerytury, na którą w ciężkich czasach trzeba po prostu dłużej pracować. Dla przykładu: polscy duchowni przechodzą na emeryturę po ukończeniu 75. roku życia. Choćby nie wiem jak było to niepopularne, czasy państw opiekuńczych przechodzą do historii. A co na to depresyjni? „To i tak nic nie da”. Taka natura. Za to w materii postępu depresyjni są zgodni z maniakami. Postęp to groźna „inność”, której nam nie potrzeba. Tyle tylko, że depresyjni są w komfortowej sytuacji, ponieważ ich wiara w postępek jest bardzo znikoma. „Innych” zaś z góry uważają za skazanych na

przegraną bez ingerencji. „Inność” też się nie może udać i jest li tylko wydmuszką, hucpą niezawierającą żadnej głębi. Czuję obawę przed depresyjnymi, bo to ludzie zmitologizowanej przeszłości, w którą chętnie zamieniliby całą przyszłość.

Pojawia się pytanie – o kim tu mowa? Czy prawidłowość mentalno-psychiczna ma przełożenia światopoglądowo-polityczne. Cóż, czasami bywa, że tak, ale to nie jest regułą. W każdym z nas jest jakaś cząstka maniaka i w każdym namiastka depresyjnego.

To jednak nie jest wyjaśnieniem choroby polskiej duszy ani tym bardziej receptą na jej uzdrowienie. Wyjaśnieniem przyczyn tej choroby i zarazem lekiem na nią jest umiejętność uczciwego spojrzenia na nas samych, na nasze dzieje bez mitomanii i fałszywych dziewiętnastowiecznych mniemań o Polsce „Mesjaszu Narodów”. Słowem, rzetelna wiedza bez „izmów”. Wielka pokora. Tej Polakowi brakuje. I dystansu do naszych dziejów i do nas samych jako narodu. Nie chodzi o to, jak sugerują niektórzy, żeby się biczować przed światem, ale na miły Bóg, Polacy nie są pępkiem świata ani tym bardziej wcieleniem cnót wszelakich. Nie jesteśmy jakąś mądrością wcieloną wybraną przez Opatrzność. Najwyższa pora dojrzeć w skali całego społeczeństwa. Pora zebrać się na odwagę i wyruszyć na przygodę z historią, prawdą i pokorą. W przeciwnym razie nadal będziemy tonąć w mitomańskiej magmie gdzieś na obrzeżach cywilizowanego świata, który co najwyżej z pobłażliwością starszego brata pokiwa głową nad naszym smutnym losem.

Marek Grewling

Ireneusz K. Szmidt Wstęp do NIETOLERANCJI

Kiedy drzewa wiadomości dobrego i złego
poschodziły ze zboczy raju
w smutne doliny
i kiedy zakwitły kwiaty
sto kwiatów u ich stóp strudzonych
kiedy miało już być pięknie i zasobnie
i miała zapanować szczęśliwość na wieki
narodził się trzeci człowiek

I odtąd
ten trzeci
zawsze był czarny
albo czerwony albo garbaty
albo mówił innym językiem
albo nie miał ojca
albo został poświęcony nie temu Bogu
albo był komunistą albo nim nie był

Na początek ukręcono bice
potem dyby, łańcuchy, topory
laboratoria tortur miały dużo pracy
stawiano stopy pod auto-da-fé
na szafotach skracano o głowy
nawet prawa odkryte przez trzecich...

W tym czasie
w laboratoriach postępu
trwały intensywne prace
nad zbudowaniem klatki
– świadectwa dojrzałości
istoty rozumnej...

Przełomy

**Od kiedy z tobą mieszkam, rzadziej piszę wiersze,
to pewnie dlatego, że życie stało się piękniejsze,
ale ciągle wyszukuję tego, przez co nieco chrzęści,
bo skoro jest pies, to i zdechnąć musi.**

**Dym ciągle wpada mi do płuc dość żwawo,
noc wylewa światła z przydrożnych latarni
prosto w nasze okna. Może to i dobrze,
że skoro jest pies, to i zdechnąć musi.**

**Tej zimy nie widziałem nawet płatka śniegu,
zawsze można zatęsknić za czymś mniej doniosłym,
choćby tylko na moment, żeby złapać nastrój,
a skoro jest pies, to i zdechnąć musi.**

**Nie myśl, że to o tobie, tak tylko wspominam
twoje białe stringi. Bardziej je niż ciebie,
ale było pięknie. Przyznaj, było pięknie,
a skoro jest pies, to i zdechnąć musi.**

**Kupa grzechów i błędów już się nazbierała,
drobnotki. Teraz na jaw wychodzi prawda
i przyszc na prawym pośladku. Ciągle piszę.
Na szczęście czasem muszę wypowiadać wszystko,**

**dzięki czemu żyję, a skoro żyję,
to i umrzeć przyjdzie.**

Gabinet cieni

**Domy nie podróżują, zmieniają się w miejscu
jak ich właściciele. Jak tutejsze szcury
żywiące się nędzą, nerwami kruchych liści
od kiedy światło nie mrozi się w lodówce.**

**Koniec świata nie znaczy, że mamy umrzeć
z głodu. A gdyby dom napelniał się słońcem
jak ciepłem – powoli? Gdyby korzenie nie były
w ziemi, ale rosły w dół? Zmieniłby się język.**

**Wszystko co może się zdarzyć, w końcu się stanie,
więc w trakcie ekspansji miasto pochłania górę,
coraz starsze kobiety wpadają mi w oko,
a starzy znajomi
naszych nowych kobiet bywają niebezpieczni.**

**Zostawiają ślady jak byli mieszkańcy
w zimnych gabinetach.**

Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk

Furmanka z poezją

– Ale to piękne, że teraz inni grają w tatkę – powiedziała Alda Furman, córka poety Kazimierza Furmana, kiedy opowiadała jej o przygotowaniach do finału I OKL „FurmanKa” i I Ogólnopolskiego Festiwalu Poetyckiego, którego patronem jest jej ojciec – niegdyś zapalony „grywacz” i „wygrywacz” konkursów literackich.

Od śmierci Furmana minęło 2,5 roku. Gorzowskie ulice jeszcze pamiętają jego szybki krok i pochyloną sylwetkę. W ludziach wciąż wiele wspomnień, anegdot. Pojawiają się i konfabulacje. Bo każdy chciałby być dziś przyjacielem poety lub chociaż móc opowiedzieć, że „postawił Kazikowi piwko”. Furman, i owszem, piwko przyjmował, ale nie bratał się tak łatwo, jak się to dziś wspomina. Na potrzeby Gorzowa stworzył siebie na obraz i podobieństwo poety z bohemy – z czarnym długim włosom, białym szalem i oparem alkoholu. Jednak był kimś więcej. Był bardziej. Dlatego uznałam, że trzeba pamiętać o nim jako o człowieku, a nie tylko symbolu. Stąd pomysł na konkurs jego imienia. I na ogólnopolski festiwal poetycki.

– Dziś wiele miejscowości, szukając swojej tożsamości i miejsca na kulturalnej mapie Polski, odkrywa na nowo swoich literatów, poetów i czyni ich patronami konkursów czy festiwali – zauważa świetna gorzowska poetka Beata Patrycja Klary, która bardzo mocno zaangażowała się w realizację moich „furmańskich” pomysłów.

I Ogólnopolski Festiwal Poetycki im. Kazimierza Furmana, połączony z finałem OKL „FurmanKa”, odbywał się od 24 do 27 maja, niemal dokładnie w rocznicę urodzin poety. Oficjalnym organizatorem wydarzenia było Akademickie Centrum Kultury PWSZ, a dofinansowało je ze swojego budżetu miasto Gorzów.

PIERÓG, LEKCJE POEZJI I POSZUKIWANIE TRENDÓW

Celem Festiwalu była popularyzacja polskiej literatury i poezji. Partnerami ACK przy przygotowaniu tego wydarzenia byli: Jazz Club „Pod Filarami”, gdzie odbywała się większość imprez towarzyszących, Galeria Handlowa Askana oraz RSTK, które w czasie „FurmanKi” rozpoczęło XXX Interdyscyplinarne Warsztaty Artystyczne.

Kazimierz Furman nie znosił pompy. Był bezpośredni, od razu wyczuwał fałsz i fanfaronadę. Dlatego staraliśmy się, by ani na moment nie popaść w egzaltację i patos, nie nadymać się, nie używać zbyt wielkich słów. Śmiało się, że w innym razie duch Kazimierza – jak przed laty on sam – wykrzykiwałby do nas z ostatniego rzędu bardzo brzydkie wyrazy. Między innymi dlatego poetyckie „świętowanie” rozpoczęło się od slamu poetyckiego o nagrodę Złotego Pieroga (24 maja) w Miejskim Centrum Kultury. Wygrała go Beata Patrycja Klary.

W piątek (25 maja) było już nieco poważniej. Najpierw poeci poprowadzili w gorzowskich liceach lekcje poetyckie, a później – o 16.00 – rozpoczął się panel dyskusyjny „I co po Furmanie? Tropy i trendy we współczesnej poezji”. Spotkanie w Bibliotece Głównej PWSZ prowadziłam wspólnie z Beatą. Specjalnymi gośćmi byli: wielce zasłużony dla współczesnej literatury poeta, krytyk literacki i dziennikarz Andrzej Krzysztof Waśkiewicz z Gdańska; krytyk literacki i poeta Leszek Żuliński z Pruszkowa; poeta, dziennikarz, szef zielonogórskiego Związku Litera-

tów Polskich Eugeniusz Kurzawa oraz poeta i szef gorzowskiego ZLP Ireneusz Krzysztof Szmidt z Gorzowa.

– Zastanawialiśmy się, jadąc tu, czy po 20 latach ważniejszy będzie dla literatury i Gorzowa Zdzisław Morawski czy Kazimierz Furman? Kurzawa uważa, że Morawski. Ja jestem przekonany, że ważniejszy będzie Furman – powiedział Andrzej K. Waśkiewicz, inicjując fascynującą dyskusję na temat roli i miejsca poety w świecie. Dość szybko dysputa stała się okazją do snucia wspomnień i anegdot dotyczących Furmana.

Po konferencji przenieśliśmy się do Miejskiego Centrum Kultury na Noc Poetów przygotowaną przez członków Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury pod wodzą Czesława Gandy. Wzięli w niej udział gorzowscy literaci i goście z całej Polski, m.in.: Jerzy Dołyk z Warszawy, Tadeusz Kolańczyk z Głogowa, Tadeusz Buraczewski z Redy, Agnieszka Tomczyszyn-Harasymowicz z Głucholaz czy Grażyna Łobaszewska z Gdyni.

NIEMIECKIE ECHA POLSKIEJ LITERATURY I FINAŁ FURMANKI

W sobotę (26 maja) miały miejsce najważniejsze dla Festiwalu i Konkursu wydarzenia. Przed południem zaprosiłam na spotkanie z Karin Wolff – znakomitą tłumaczką literatury polskiej na język niemiecki (tłumaczyła m.in. Mickiewicza, Sienkiewicza, Bieńczyka, Masłowską, Furmana, Papuszę, Nurowską), która w bardzo emocjonalny sposób opowiedziała o swojej fascynacji literaturą polską, przyjaźni z Furmanem, tajnikach pracy tłumacza. Uczestnicy pytali ją także o stosunek Niemców do literatury polskiej oraz o to, co powinni zrobić polscy literaci i wydawcy, by nasza twórczość była popularna za Odrą.

– Lubię takie spotkania, bo widzę, że państwo to nie takie ciu ciu ciu, tylko naprawdę są zainteresowani słowem – powiedziała zachwycona tłumaczka.

O 15.00 wszyscy przenieśli się do Galerii Handlowej Askana, gdzie plastycy, muzycy i poeci – przede wszystkim uczestnicy XXX Interdyscyplinarnych Warsztatów Artystycznych Garbicz 2012 – zaprezentowali program „Obrazy – Słowa – Dźwięki”. Chodziło o to, by choć na moment wejść z poezją w przestrzeń miejską, „podrapać nią” osoby, które przyszyły do galerii na zakupy czy kawę ze znajomymi, by na sekundę przystanąły, posłuchały, oderwały się od codzienności. – Jesteśmy otwarci na takie inicjatywy. Tym bardziej że program artystyczny wpisał się w obchody Dnia Matki i inne sobotnie atrakcje Askany – powiedziała Anna Sip z działu marketingu Askany.

Około 17.00 goście Festiwalu wrócili „Pod Filary”, gdzie odbył się Turniej Jednego Wiersza. 17 autorów zaprezentowało swoje prace, a oceniało je jury w składzie: Karol Samsel – przewodniczący, Dorota Ryst i Beata Patrycja Klary. **I nagrodę przyznało Agnieszce Tomczyszyn-Harasymowicz, II nagrodę Barbarze Janas-Dudek, a wyróżnienia: Agnieszce Moroz, Aleksandrze Słowik i Pawłowi Łęczukowi.** Fundatorem nagród w Turnieju Jednego Wiersza o łącznej wartości 1 tys. zł był znany gorzowski jubiler i złotnik, Roman Kaźmierczak.

Po turnieju Paweł Łęczuk – związany niegdyś z Gorzowem, dziś mieszkający i tworzący w Warszawie – zaprezentował autorski projekt multimedialny „Migawki”.

Przyszła wreszcie chwila na najważniejsze wydarzenie wieczoru – finał I Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego „FurmanKa”. – Na konkurs wpłynęło niemal 400 zestawów prozatorskich i poetyckich z całej Polski, a nawet z Ukrainy, Grecji,

Włoch i Stanów Zjednoczonych. Bohaterki często miały na imię Agnieszka lub były w ciąży. Bohaterowie nie radzili sobie z życiem ani własnymi emocjami. Akcja toczyła się we Wrocławiu, pociągu lub czyjejś imaginacji... – podsumowałyśmy.

Jury w składzie: Anna Makowska-Cieleń (polonistka), Beata Patrycja Klary (poetka), Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk (literatka, dziennikarka), Wojciech Kuska (dziennikarz) w kategorii prozy przyznało I miejsce **Ewie Przemyskiej z Krakowa za „Oczy królowej mrówek”**, II nagrodę **Tadeuszowi Michrowskiemu z Radomia za „KM 223”**, III – **Andrzejowi Kozickiemu z Sandomierza za „Orientuj się, magister!”** oraz dwa wyróżnienia: **Justynie Waloszek ze Skwierzyny za „Za wcześniej”** i **Annie Czujkowskiej-Włodarskiej z Lublina za „Pięćset gramów kobiecości”**.

W kategorii poezji I nagrody nie przyznano. – Zestawy były znakomite technicznie, ale... bez duszy – tłumaczyli jurorzy. II nagrodę otrzymała **Marta Kapelińska z Torunia za zestaw „Mielizna”, „Zimne kraje”, „Flashback”**, III nagrodę – **Karol Graczyk z Torunia za zestaw „Agonia i pszczoły”, *** (Oboje wiemy mamó...), „Śmierć w pełnym słońcu”**. Tę nagrodę trzeba było jednak unieważnić, ponieważ autor złamał regulamin konkursu i opublikował w jego trakcie wszystkie nadesłane utwory. Wyróżnienia otrzymali: **Dariusz Eckert z Krakowa za zestaw „Penelopa I”, „Penelopa II”, „Ita-**

ka” oraz **Michał Witold Gajda z Wrześni za zestaw „Noc polarna X”, „Wstawał dzień II”, „Morderstwo”**.

Nagrodę specjalną, książkową, za zestaw: „Renifer” przyznano **Renacie Suchodolskiej z Włoch**. Wieczór zakończył się znakomitym koncertem Joanny Vorbrod.

W niedzielę, 27 maja, poeci wzięli udział w mszy św. w intencji artystów, celebrowanej w katedrze, oraz w Gorzowskim Szlaku Literackim. Tym sposobem „FurmanKa” odjechała do historii. Za rok pewnie znów nadjedzie. I znów inni poeci będą „grać w tatkę” Furmana.



Na zdjęciu od lewej: *Agnieszka Moskaluk, Dorota Ryst, Beata P. Klary, Agnieszka Tomczyszyn-Harasymowicz, Barbara Janas-Dudek, Paweł Łęczuk, Karol Samsel*, u góry: *Michał Witold Gajda, Marta Kapelińska, Aleksandra Słowik, Agnieszka Moroz*

Agnieszka Tomczyszyn-Harasymowicz rok 1985

Woda w kranie kapie krwią, udaje odgłosy deszczu, zwierzęta siedzą cicho obok Alicji, mamy dzieciństwo. Lustra odbijają światło, nie widać w nich naturalnych obrazów z Mrożka, a pompowanie słonia nikogo nie zastanawia; trudno odróżnić gęstą niewiedzę od rzadkiej groteski. Od jakiegoś czasu

kartkuje się ludzi, wycina z papieru ich przyszłość; lampasy na spodenkach chłopców pasują do szlaczków na otokach. Noc już – woda siąpi, w kaloryferach; gorące przesłanie wyszarpuje oddech; kap, kap. Jasna Matka Boska wysyła promienie z rąk, gwiazdne wojny wytaczają się z plakatu. W taką noc nie usypia się zwierząt, głaszcze się ich futra, by zedrzeć je, gdy nadejdzie moda na kozuchy.

II obmówienie

**wczoraj odmówiłam mu obcowania
z moim starym ciałem, które patrzy i nie czuje.**

**dzisiaj dziecko do mnie mówi: wstań,
twoja ohydna władza musi się skruszyć lub spalić.
dziecko mówi: słuchaj
i słyszę tylko słowa.**

III pokuta

**pod kamień, pod kamień nie zapomnij wepchnąć i przydeptać.
przydeptać i wepchnąć dokładniej, szczelniej zamaskować.**

**żeby nie znaleźć, zapomnieć, nie przypomnieć sobie nigdy
tej drogi przez osiedle gniazd. przez gniazda poronione,
gwałtem zabrane, chłodne, załężnione, tkliwe.**

**schowaj mnie szybciej, mocniej, gwałtowniej.
zapach zatrzyj, ślady zasypie śnieg.
pod kamień, pod kamień ze mną. niech palą się znicze,
niech zapłonie brzuch.**

Barbara Janas-Dudek wizja lokalna

I zaczątek

**uruchomiło się przykurczone, zwinięte.
najpierw palce splotło i wydało dźwięk.**

**poraniło mnie tkliwie, zimna napędziło,
nawiało, nasypało – zgasło.**

**więc się stanie.
będą się nim karmić, przeżuwać, trawić.**

później zakopią każde słowo.

Aleksandra Sikora

Nowy Jork I

Nie jest to rzecz do skończenia
i nie wiem czy potrafię,
czego nie doświadczyłam.

This shitty piece of Manhattan z końca lat
dwudziestych.
Widziałam jak opowiadasz chroniąc się za starością.
Coraz bardziej łagodny z każdym gestem czasu.
Coraz bardziej
ponad. Pięknie perspektywiczny, jakbyś już szybował
razem z dachami miasta.

Zaulek, gdzie z suteryn rosną pelargonie. Mama
Golden Bee
śmiała się urwiście – potok samogłosek; pozostał ci
w oczach
błysk tamtej kaskady.

Muszę przysiąc na ławce. Przysiadanie pamięci to
więcej niż lokata
w New York Stock. Jesienią w Central Parku wilgoć
rozpuszcza ślady
i jedyne wchłanianie prowadzi przez policzek wspólny
z liściem klonu.
Nadstawiam twarz.

* * *

Chwytają mnie w pułapkę krzywańce drapaczy obok
lodowiska.
Tak się ku sobie dobierają domy, kładą głowy na
piersiach
wzajemnie,

a ja,
ja nie mogę zapomnieć popcornu prosto z garści.

Chciałabym pochłonać, jak mówią, ten Stan Ducha
wielkimi porcjami,
gwałtownym spożywaniem. Tego pragnę gorąco w
wąwozach Manhattanu,
na srebrnej brooklińskiej broszy – w każdym miejscu,
które jest rozrachunkiem przestrzeni, sposobem na
psychoskopię.

Daleko od rzeźni Wall Street.

Tadeusz Buraczewski

Sen Papuszy
[paramiśa romani]

Czego bym mogła was nauczyć,
czym zastanowić – by coś zmienić
– poruszyć wokół was powietrze
pieśnią co płynie gdzieś w przestrzeni.

Rzucić zielony lasu kilim
pod łęgów ptasio-rajski jazgot
– gdzie olchy w wodzie po kostki stojąc
zazdroszczą spadającym gwiazdom.

Poezja to cygańska wróżba
– uwierz, że jeszcze tyle ról
wiatrem na wodzie ci rozpisze
– pikowy wyobraźni król.

Gdy w zgiełku miasta niespodzianie
przekleństwo echem cię przegoni
– świat zgaśnie z wszystkim jak ognisko
jak osi skrzyp i rzenie koni...

dikhaw daj, dikhaw doj...
– zaklinam po raz nie wiem który,
by z twarzą słońca stanął Cygan
– patrząc na grzbiety chmur, lecz z góry...

Wolności – zawsze się zazdrości
– w święto podróży – wokół świata,
cóż – w szprychach kół się piach przesypie
– tak tabor minął – jak strzał z bata.

Paweł Łęczuk
Z poematu „Landsberg”

3. Nikt mnie tu nie zna, jakbym był z Gniezna – zawsze to
jakaś stolica. Połączyli się w pary. Wyparowali. Dwanaście
lat robi swoje.

6. Przystanek przy prosektorium. Miałem tam kiedyś
dziewczynę i prawie to zrobiliśmy. Za to jej pies robił to
kilka razy dziennie z poduszką. Trochę nas peszył.

12. Osiedle Piaski. Pamiętam surowość i pustkę pierwszych
dni po przyjeździe w osiedziątym szóstym. Kaluże i błoto
pomiędzy płytami z betonu. Teraz także odczuwam pustkę.
Szczególnie w przeddzień imienin i wizyty siostry z rodziną.

20. Tyle lysych głów. Czy oni wszyscy kochają żużel?
Kochają Stal? Pamiętam jak wyzywali od jebanych pedalów
Tomasza Golloba. Ale wtedy nie był mistrzem świata i jeździł
dla Bydgoszczy.

33. Odwiedziłem grób Kazimierza Furmana. Zapalam biały
znicz...

z cyklu Teksty inspirowane

fejsbuk

dzień po dniu czuwa przed obliczem peceta
wyczulona na każde nowe słowo spływające kablami
bezosobowo flirtuje z fejsbukiem
idealnym zastępcą faceta przyjaciela i innych
tylko tam może być maskotką lub seksowną iskierką

obrazy pozwalają zapomnieć też o dzieciach
najlepszych gdy znikają za drzwiami
jedno samo ucieka drugie nie rozumie że
bezpieczniej nie oddychać tym samym powietrzem

praca to kolejne zmagania z niechęcią do dania szansy
grad ocen leci na głowę
rozbija marzenia o lepszym jutrze
pozostaje głód pieniędzy

jeszcze nie dziś

odejdę
zanim poczuje brak ciebie w codziennym zasypianiu
nim zabraknie ciepła rodzinnych posiłków
w daniach z baru szybkiej obsługi
nie obejrzę się za wspomnieniem pocałunków
rozodrżanych w kolorowych ścianach naszej klatki
ze śladami klótni
w nieskazitelnie ułożonych ubraniach
zamknę drzwi za nami
zanim w słowach związek się rozsypie
i uleci rozwartymi ustami

nawrót choroby

ona znowu w ciąży
nieurojonej przeze mnie
ale prawdziwej namacalnej
choć brzuch jeszcze mały
sączy się do podświadomości
by znowu złamać
niewdzięczne ciało bez rozstępów

nie znam bólu porodowego
choć jestem matką
przed tobą

nie zaglądałam do wózków
bałam się że serce wyskoczy
i zamieszka poza ciałem

przestałam chodzić do kościoła
śmiech dzieci wwiercał się do głowy
nie pozwalał na modlitwę o przegraną unikałam
znajomych z dziećmi nie miałam sił zachwycać się nimi
fikać koziołki ciało protestowało

nie odwiedziłam siostry gdy urodziła
moją wyczekiwaną chrześnicę
płakałam długo

wiosenne porządki

czas usunąć nagromadzone piksele minionych dni
często zbyt jaskrawych zbyt ostrych

wymazać dźwięki rozmów niedoszłych
z pseudoprzyjaciółmi i eksami

wylapać błędy wzroku a nawet wyleczyć
struny głosowe nienawykłe do goryczy

czas przygotować się do nowej gry
zresetować mózg w przeddzień wiosny

zostawiłeś

I
zostawiłeś mnie nas z dwoma słowami
mąż i ojciec złotego dziecka nie chciał
codziennie przewijać rolki kolejnych dni
dostarczać chusteczki nasączone czułością
zdobywać kasę na chleb i marchewkę i czekoladę
czasem zmywać pierwородny grzech
i lepić ciepły sen

odszedłeś bez walizki z pamiątkami
bez zużytych koszulek
nawet twoje kosmetyki siedzą wciąż w łazience
abyś mógł bez zbędnych wspomnień poić się inną

II
zostawiłeś mnie nas
wspaniałomyślny kolega zaproponował
swoje ciało i całkiem spory kąt
wzięłam co tak łatwo przyszło
dziecko musi mieć ojca
ludzie często pytali czy go kocham
w jego przywiązaniu nie śmieli szukać dziur
pokochałam gdy wysączyłam
gorzkie jezioro pełne pierwszego

III
zostawiłeś mnie nas
przekłętę majaki szarpały ciało w godzinach
odpoczynku
pot rozpanoszył się od szyi po wzgórza pośladków
wyrwałam się z katuszy prosto w ciemność
lecz dłonie powracającego trupa
odnalazły przynależne ciała

wakacje

tylko cisza gra w pozostawionym mieszkaniu
jej echo odbija się od ścian
po kątach biegają koty
tyle miejsca już dawno nie miały
szczotka i mop trwają w stanie spoczynku
w odsłoniętych oknach odbijają się wspomnienia
mieszkańców którzy wyjechali na wakacje
na parapecie schnie begonia i fiołek alpejski
resztką niezabranych rzeczy odpoczywa na kanapie

Dekalog dobrego wiersza (II)

Przykazanie szóste: szlachetna prostota.

Nic gorszego niż wiersz przegadany i „wyspekulowany”. Wiersz ubrany w zbyt wielkie słowa, bełkotliwy, niezrozumiały, brzmiący sztucznie i nienaturalnie.

Nic trudniejszego niż wiersz olśniewająco prosty. To być może sztuka największa. Nawet wielcy poeci nie zaczynali na ogół od prostoty, a dochodzili do niej całymi latami. Właśnie „Mapa pogody” Iwazkiewicza jest tego spektakularnym przykładem. Poeta używając słów, skojarzeń, konstrukcji najprostszych wyraził ogrom metafizycznych treści. Wszedł tak głęboko i ekspresywnie w tajemnicę losu, że zdawałoby się to niemożliwe bez zastosowania bardziej skomplikowanej poetyki.

Poetyka prostoty, zwyczajności, jasności, naturalności nie obezwładnia trudnych, wysokich treści. Wręcz przeciwnie: to kontrast między prostotą języka a wagą jego przesłań tworzy siłę wiersza. Powiedzieć coś krótko, zwięźle, zwyczajnie – a dobitnie! To jest sztuka!

Jak wiadomo, w ramach jednego języka posługujemy się jego wieloma odmianami. Nie możemy mieć pretensji do poziomu skomplikowania języka naukowego, np. języka filozofii, natomiast w odniesieniu do języka poezji mamy prawo roszczenia jego prostoty. Oczywiście, tę sprawę komplikuje poziom jego zmetaforyzowania. Metafora to ulubienica wiersza. Jej zrozumienie wymaga talentu czytelniczego (i tak jak czytelnik ma prawo żądać od poety prostoty, tak poeta ma prawo żądać od czytelnika wyobraźni), ale postulat prostoty dotyczy i jej. Metafora także może być na tyle „przespekulowana”, że aż zła. Metafory błyskotliwe to zazwyczaj także metafory proste.

Przykazanie siódme: wiersz powinien być lakoniczny.

To wiąże się z postulatem prostoty. Oczywiście, niekoniecznie wiersz musi być epigramatem (ideał lakoniczności!), wiersz epicki (homerycki, „panatadeuszowy”, gatunki w rodzaju traktatu, dytyrambu, litanii itp.) ma wręcz prawo do rozlewności. Lakoniczność jest jednak walorem. Dlaczego? Dlatego, że przegadanie wiersza to wada nieznośna.

Tu znowu działa prawo kontrastu: jeżeli w szlachetnie prostym i lakonicznym wierszu uda się nam powiedzieć coś ważnego, to ta amplituda treści i formy pozytywnie zdumiewa. Ktoś powiedział, że poezja jest sztuką eliminacji słów. Ani jednego zbędnego słowa w wierszu! Proszę o tym pamiętać. Proszę zawsze zaczynać poprawianie napisanego wiersza od wyrzucania słów zbędnych.

Za jeden z najciekawszych erotyków, jakie znam, uważam zaledwie czterowersowy wiersz mego nieżyjącego już przyjaciela Janusza Leppka:

*patrzyłem na ciebie
z okna wieżowca,
lecz to na pewno
nie byłaś ty*

Proszę się wczytać w ten tekścik. Ktoś stoi w oknie wieżowca. Może dziesiąte, może dwunaste piętro... czeka na ukochaną. Może na dole jest przystanek autobusowy... Jedna dziewczyna, druga, trzecia, ona – nie ona, ty – nie ty... Bohater wiersza szamoce się, biega od okna do ściany, uchyla firankę, wypatruje... Znowu... na pewno... nie ty... Jakże króciutki wiersz i jaka wspaniała scena! Jaki teatr wyczekiwania! Ile emocji! Ile szamotaniny! Ile trafionej psychologii sytuacyjnej! Oto, co może lakoniczność!

Nie trzeba wielu słów, żeby wiele powiedzieć.

Przykazanie ósme: wiersz niechaj będzie niedosłowny, niedomówiony i otwarty.

Wiersz nie jest tożsamy z jasnym, jednoznacznym wykładem. Wiersz powinien kryć w sobie tajemnicę – jak pączek słodkie nadzienie. Z punktu widzenia tekstologii wiersz jest bytem fenomenologicznym – niepowtarzalnym i istniejącym wbrew logice obowiązującej w innych przypadkach.

Np. dosłowność pożądana w wielu innych komunikatach językowych (np. w języku prawniczym) może być w języku liryki balastem. Wspomnieliśmy wyżej o metaforze. To ona jest królową tropów poetyckich, a jest ich wiele – właśnie dlatego, że język liryki ma swoje wyspecjalizowane chwytły i narzędzia. Wszystkie one na ogół istnieją po to, by unikać dosłowności i język potoczny zastępować w wierszu językiem zmodyfikowanym artystycznie.

Dam przykład genialnej metafory i niedosłowności. To znany wiersz Norwida pt. „Czułość”:

*Czułość – bywa jak pełny wojen krzyk,
I jak szemrzących źródeł prąd,
I jako wtór pogrzebny...*

*I jak plecionka długa z włosów blond,
Na której wdowiec nosić zwykł
Zegarek srebrny – –*

Zamiast opisywać czułość, Norwid porównał ją do dewizki zegarka, którą wdowiec upłócił z kosmyka włosów zmarłej żony. Wmyślcie się w tę sytuację, wczujcie się w nią: starzec wyjmując z kieszonki kamizelki zegarek, muska kciukiem włosy swojej ukochanej, która odeszła, wraca myślami do niej, oddaje skrytej pieśczości minione wspomnienia... A więc i tak można opisać czułość!

Powiecie: ależ ile więcej można powiedzieć o czułości! Nie, ten wiersz Norwida dowodzi, że można, ale nie trzeba. Niedosłowność „rymuje się” z niedomówieniem. Choć w wierszu dobra pointa to prawdziwy skarb, to ona może także polegać na zawieszeniu głosu, na niestawianiu kropki nad „i”.

Niedomówienie i niedosłowność potęgują wieloznaczność wiersza. Wiersz nie musi być jednoznaczny. Dobrze jeśli budzi różne skojarzenia i interpretacje. „Co poeta chciał w tym wierszu powiedzieć?” – to pytanie bez sensu. Wtajemniczeni wiedzą, że intencja poety jest sprawą drugorzędną, że dobry wiersz jest wieloznaczny, że odczytywany inaczej przez różnych odbiorców w zasadzie nie traci, a zyskuje na swym fenomenie.

Tak, dobry poeta potrafi trzymać czytelnika w cułach, tzn. narzucić mu jednoznacznie rozumienie swojego wier-

sza. I dobry poeta tak czyni. Ale bardzo dobry poeta czyni inaczej: pozwala, by wiersz, jak dorosłe dziecko, odrywał się od niego i żył swoim własnym życiem.

Przykazanie dziewiąte: wiersz powinien wyrastać z pokory. I nie wstydić się pychy.

O co tu chodzi? O postawę poety. Poeta powinien, moim zdaniem, poczynać pisanie wiersza od schodzenia z cokołu i zrzucania spizowej togi. Zamiast gęsiego pióra niechaj sięgnie po gryzek ołówka. Poeta powinien z pokorą przyjmować świat i z pokorą weń wnikać. Być jednym z nas. Pamiętać o skromności. Chylić czoła przed drugim człowiekiem i tajemnicami świata.

Dlaczego? Dlatego, by zachować prostotę, zwykłość i „normalność” patrzenia i mówienia. Po to, aby zejść z koturn i aby unikać za wszelką cenę sytuacji, gdy wyda mu się, że jest kimś lepszym niż jest. Tylko smak „soli ziemi” na ustach poety jest smakiem, jaki ma trzymać go w swej władzy.

Ale są chwile, że poeta musi wejść na Mont Blanc i przemienić się w Tytana. Uderzyć pięścią w stół, rzucić sobie Ziemię do nóg, stanąć przeciw milionowi, kochać i cierpieć za miliony... Kiedy powinien przemówić do mierzw ludzkiej głosem, za jakim ona pójdzie.

A więc: pokora czy pycha? Jedno i drugie, jedno i drugie. Ach, że też nie mamy w języku polskim słowa, które byłoby wypadkową tych obu sensów.

Przykazanie dziesiąte: poeta poddaje się natchnieniu.

Ojcem i matką wiersza jest natchnienie. Co to jest: natchnienie? Ba! Wszyscy wiedzą, nikt nie może wytłumaczyć. Może psychologia aktu twórczego kiedyś „skodyfikuje” to pojęcie. Ja wierzę w natchnienie jako „szósty zmysł”. Zmysł objawienia i olśnienia. Jest to na pewno stan psychiczny, stan szczególnej koncentracji, który artyście (nie tylko poecie) dodaje skrzydeł. Wtedy obraz „się sam maluje”, wiersz „się sam pisze”... słowa płyną spod pióra jakby dyktował je niewidoczny demiurg sztuki.

Natchnienie to wszystko to, co w fenomenie pisania nie poddaje się racjonalizacji. To tajemnica tworzenia. Niekontrolowana siła sprawcza. Natchnienie to napęd wywołujący autoekspresję. Specyficzna koncentracja spoza obszaru odruchów kontrolowanych.

„Zawodowy” poeta (dobry rzemieślnik) potrafi, rzecz jasna, napisać wiersz na zimno, bez żadnego natchnienia. Ale prawdziwa, wielka, gorąca poezja powstaje niemal zawsze w jakimś uniesieniu i przy udziale „niewidocznej ręki”; czytaj: przy udziale ogromnego zaangażowania emocjonalnego i twórczego.

Dlaczego natchnienie ma znajdować się w takim, jak ten, dekalogu? Bo poeta, który ma cyniczny stosunek do natchnienia, może już przestał być poetą, tylko jeszcze o tym nie wie?

I to już wszystko. Tak widzę mój „dekalog dobrego wiersza”. W mojej gradacji wartości i z punktu widzenia mojego doświadczenia czytelniczego wymienione wyżej walory są najistotniejsze. Oczywiście, zbyt wiele nadyskutowałem się o literaturze, by upierać się przy niepodważalności tego dekalogu. Prawdopodobnie można napisać jeszcze kilka takich kodeksów inaczej pozy-

cjonujących wymienione wyżej walory lub zgłaszających inne cechy niezbędne w tej wyliczance. Może więc każdy z nas powinien ułożyć swój dekalog? Może każdy go ma, tylko sobie tego nie uzmysłowił? Jedno jest pewne: poezja istnieje bez jakichkolwiek dekalogów. Ale też istnieć nie może bez bądź to zbiorowej, bądź indywidualnej wiedzy o jej arkanach. Bo życie ludzkie w dużej mierze wypełnia ją konwencje. Sztuka, choć być może wynika z potrzeby naturalnej, realizuje się w formule konwencjonalnej. Konwencja zaś to zasada. I nie ma się na co obrażać – gdyby zabrano nam konwencje, to tak jakby zabrano nam wodę i powietrze – do tego etapu dotarliśmy w procesie cywilizacji. Dlatego rozmowy o sztuce są tak ważne. Przynajmniej dla tych, którzy dotrwali do końca tego tekstu.

Leszek Żuliński

Ireneusz K. Szmidt

BEZDOMNY (Z Ulricha Voelkela)

Bezdomny włokę swoje ciało
przez nienawistne, wredne miasto
ludzie mijają mnie z uśmiechem
gdy zwracam ku nim swoją twarz
a mnie przeraża ich serdeczność
i nie mam siły się zapytać
i wciąż nie mogę znaleźć swego
kiedyś porzuconego miejsca

Przed moim, własnym przecież domem
stanąłem nagle – nie do wiary
lecz widzę – drzwi zaryglowane
zamki przyjazne swoim kluczom
bez nich się dla mnie nie otworzą
wołam ale wołanie moje
bez echa ginie w grubych murach
i nie wiem czemu nie ma okien

Sąsiadka furtkę uchyliła
ach jaka dziś usługowa, pełna
falszywej – ja ją znam – przyjaźni
Odchodzę, chociaż nie mam dokąd
w kolejne niewiadomo gdzie
Bez zgody stóp swe ciało włokę
przez nienawistne, wredne miasto
od urodzenia - ja, bezdomny

Beata Patrycja Klary

W pewnym sensie

*Dajcie mi trucizny, by umrzeć
Albo sny, aby żyć. [Gynnar Ekelöf]*

W pewnym sensie wszyscy jesteśmy pisarzami. W górach opowiadamy turystom, które szlaki są kamieniste i gdzie łatwiej matce z niedonoszonym dzieckiem zdobyć szczyt.

Na szlaku snujemy historię ulubionej kawy przywiezionej przez Mustafę, bo wcześniej tylko kozie mleko i kumys.

W szukaniu kontaktu, by przelamać ciemność, znajdujemy bujanie ojca o ostrzu i jego rękojeści z macicy perłowej.

Piszemy swoje losy hormonem leptyny, która zmniejsza głód, bo tłuszcz jest taki niemodny, choć poprawia smak.

W pewnym sensie wszyscy jesteśmy pisarzami. Unosimy oczy, a gwiazdy, które niczego nie widzą, mówią do nas. Tam jest zapisane wielkie wymieranie pod koniec permu.

Roman Karwacki

Ona taka naga

On miał przedwczesny wytrysk, nie urodzę bękarta
w terminie
to nie dziecko, poetycka figura w drodze do nagród, co
deszczem po udach mi spłyną
kiedy przez wszystkich już będę poznana.

Frunąc z małego miasteczka, z piórami we włosach
lonowych latającym dywanem jednej z tysiąca nocy,
chórami hurys z minaretów wyrzutów sumienia,
nucę do ucha: ma-lut-ki
ściągnij-spod-nie-po-czuj-się-swo-bod-nie, już jestem taka
jak chcesz, wyzwolona, lat dziewięć z dziesiątka lat
milenium tego
objawiona, czekam a czekać nie chcę
– nudno mi przy tobie

i deszcz na dupsko pada
kończ już, bom w żalobie.

Dolina krzemowa

otwierasz się
implanty piersi
w próbie ziemi
odslonięte

archeologia piramidalnych
marzeń epoki piękna
sukcesu i wiecznej młodości

ujmuje
niepokonane lśniące trwanie
twojej czystej bezbronności
teraz w moich dłoniach

wybacz

czułością uśmiechu
mej czułości naprzeciw
wybiegasz

spóźniona

Maria Borcz w dolinie Cedronu

Cyrena zalana słońcem
Rufus biegnie do źródła po wodę
chce przynieść trochę chłodu
brat umiera trawiony gorączką
trzeba opanować pożar jego ciała

na drodze pełno jest kamieni
lecz tym razem zbyt wiele
dzban rozbity wody nie ma
i ten ojciec który nie wraca
czyżby zapomniał o umierającym dziecku

ojcu śpieszno do Aleksandra
z Jerozolimy do Cyreny jest kawałek
przy bramie Efraimskiej spotyka orszak
exactores mortis popędzający skazanych na śmierć
uraganie nie pomaga potrzebna siła mięśni

Szymon ma ciemną karnację
pasuje do tego zajęcia
rzymscy żołnierze obciążają go
Jezusowym patibulum
lecz w sercu niesie krzyż własnego syna

pozbyć się jak najprędzej ciężaru by zdążyć
lecz skazaniec wlecze się upada
Cyrenejczyk złapany w pułapkę czasu i miejsca
przeżywa bolesny epizod
swojej historii
w dolinie Cedronu zalanej słońcem

ping-pong

jak piłeczki
otrzymujemy cios za ciosem

ból wyznacza kierunek
dobrze czujemy się tylko w powietrzu
pomiędzy razami

któ pęka wypada z gry

Krystyna Caban

* * *

Wysłałam ot tak sobie
kilka zakrętów
wykoślawione drzewa
zieleń poprzebijana strachem
i szmer strumyka
głuchego na zmęczenie

nie wiem czy dam radę
iść dalej

przecież wysłałam ot tak
a może po to by powiedzieć
wróciłam
nie wiem nadal bije chłód
z zamyślenia

Puste słowa

Nie musisz okradać nieba
tluc pusty dzban na szczęście
wypełniać słowami kieszenie

w naszym pokoju już dawno
spuszczone są żaluzje
światło księżycy nie wypełni go
żadną obietnicą

puste słowa zwiędły
pozostał kwaśny zapach
przelknęłam wszystkie gwiazdy

Tomasz Korbanek**Bezbronni**

Krążymy
po swoich orbitach,
mijając się każdego dnia.
Nieporadni boimy się
nagłych zderzeń
– dotyku, spojrzeń.
Czasami tylko
zapytamy odważnie
o nazwę ulicy,
o znikający za zakrętem
autobus.

Mijamy się każdej nocy
bezbronni.

* * *

Radość i trwoga
niczym oranż i fiolet
gryzą się we mnie.

Magdalena Gryczyk**na starej półce**

święty posezonowy
już jest zakryty
jak kartka
w książce
pozostałymi
zamknięty jak w klatce
czeka aż
zbiedniejesz
wówczas otworzysz
na tej stronie

bezmilosny

dokąd mnie zwodzić będziesz
marmurowy książę
szukasz mego ciała
samymi oczami
smutny i milczący
czekasz na me dłonie
behradnie nie swoi
kręcimy się w kółko
bezlitosna jestem
tylko się podobasz
dałabym ci serce
choćbyś był szkaradny
głową jak wahadło
machasz w obie strony
pragniesz rock end rolla
a Bóg ci go skąpi
usta twe śpiewają ale nie Maryi
jesteś tak nieszczęsny
lzy ci kapią z oczu
palę tobie świece
już mi nie przeszkadzasz

bezdzienny

zbawienie przyszło w Nocy
i powróci
gdy przyjmiesz przebaczenie
w kolejną

***** (beztytułny)**

Po skorupie czasu
słaby chłopiec idzie
zraniony chorobą
ciągłego czekania
bracia tacy silni
dawno odjechali
po skorupie czasu
krew tryska pomalu

Renata Paliga

* * *

oddech nie boli mnie już
(nie oddycham)
miłość nie rani już
(nie miłuję)

obrastam girlandami liści z żelaza
kwiatami z kamienia

przetrwam

Agnieszka Moroz**Alejki cudów**

W Metropolitan Museum
ja i Rembrandt po raz pierwszy

spojrzeliśmy sobie w oczy
Jego ból odbił się na mojej twarzy
jak przenikliwy dźwięk
nagle szarpnięcie zrozumienia
niedającego się zapomnieć

A przecież malował uśmiechnięte
półprofile
dłonie kobiet i kołnierze z piór
Minę mógł sobie sprawić jaką chciał
rozjaśniając usta białym odcieniem
pozoru
imieniem Cornelli
która ciągle umierała
choć miała być jego córeczką

Teraz oglądam profile
w Metropolitan Facebook
(naukowcy właśnie odkryli
że wokół niego kręci się świat)
Wyszczzerzone laleczki pożerają się
wzrokiem
w brzuchach mają lusterka
w tle skutery gadżety design

Wkrótce alejki cudów przeniosą się
do muzeów
Zamiast twarzy lekko przyciętych
do ram
na ścianach zawisną wyretuszowane
pocałunki
spłoty rąk i uśmiechy
papierowe jak imiona
których nikt już nie będzie pamiętał

O twórczości Jerzego Hajdugi

Ludwik Lipnicki

(też z Drezdenka)

Wiersze Jerzego Hajdugi są jak okruchy codzienności zapisane kilkoma słowami, w kilku wersach, gdzie każde słowo ma swoją wagę. Tak jak słowo w tekście, tak i każdy wiersz jest ważny, nieprzypadkowy. Dzieje się to tak samo, tak nieprzypadkowo jak komponowanie witrażu z niewielkich, pozornie nieważnych kolorowych szkiełek. Bo właśnie z witrażem można porównać całą poezję, całą twórczość księdza Jerzego.

Hajduga pisze bez patosu, oszczędnie operuje metaforą, która nie jest barokowo rozbudowaną, zdobną, ale tak skromną, że trzeba nieraz dobrze wczytać się w tekst, aby ją znaleźć. Na tym, między innymi, polega wielkość i inność jego poezji, jego poetyki.

Ta poezja jest rozpoznawalna, wyraźnie wyróżniająca się; jest bardzo indywidualna i, można powiedzieć, osobna. Po jednym, dwóch wersach rozpoznaje się jej autora bez potrzeby zaglądania na stronę tytułową tomiku. A to jest cechą twórczości tylko nielicznych poetów. Poezja Hajdugi ma już swoje trwałe miejsce nie tylko wśród poezji kapłańskiej, i nie tylko w naszym regionie.

W wierszach Hajdugi nie ma słowotoku, lecz precyzyjne wyrażanie tego, co najistotniejsze i co zmusza do myślenia. Poeta często „rozmilcza się na wiele głosów” – namawiając tym samym czytelnika, aby ów myśl autora sam sobie dopowiedział. Słowa, które umieścił w tomiku „Panie, Ty wiesz...” można odczytać jako pewnego rodzaju manifest twórczy:

*zaczęta modlitwa
niedokończony wiersz
bez słowa lepiej*

Bo nie jest konieczne opisywanie spraw Wielkich wzniosłymi słowami...

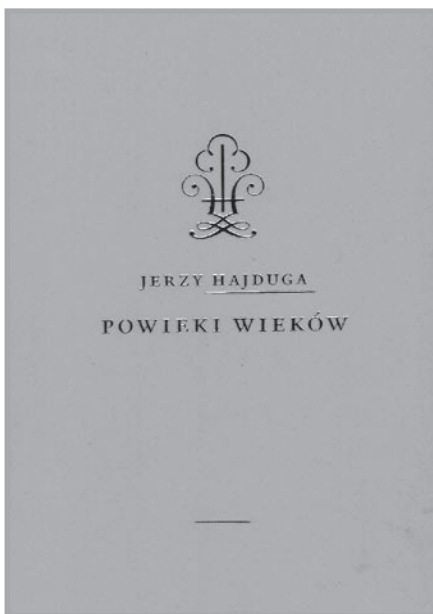
Jerzego Hajdugę, jako poetę wielkiego formatu, tak naprawdę odkryłem w jego wierszu o Mamie, która zmarła. Cały ból, osamotnienie, bezradność poeta przykrywa czymś – wydawać by się mogło – tak banalnym, jak niepokój o to, kto mu teraz przyszyje guzik do koszuli i co będzie z kubkiem...

Częste jest w jego twórczości odsyłanie do codzienności, do prostych, ale jakże głębokich w swoim znaczeniu gestów, tak jak w „Mojej liturgii powrotów”, gdzie :

*... jeszcze położę dłoń na twoim ramieniu
o Panie tak położyć dłoń aby dzieci
myślały że jest lżejsza od krzyża
a ci co nie są dziećmi
że to przyjaźń...*

Poeta Jerzy Hajduga jest księdzem, ale nawiązania do stanu kapłańskiego, w odróżnieniu od wielu innych poetów z tego kręgu, nie należą do dominujących. Jeśli już się pojawiają, to zawsze są z bardzo znaczącymi, mocno wyartykułowanymi akcentami, świadczącymi, że są to dla niego sprawy ważne. Bo nie są mu obce, tak przecież ludzkie, rozterki i wątpliwości. Jednak nie obnosi się z nimi. Wie przecież, kim jest, gdzie jest i jakie jest jego życiowe zadanie. Przykładem jest jeden z powracających co jakiś czas motywów muru. Niekiedy autor, jakby w desperacji, posuwa się aż do granicy, za którą jest już obrazoburczość:

*Patrząc na mur klasztoru w środku nocy
zastanawiam się, z której strony
Bóg go ogląda...*



Dla Hajdugi ten mur nie jest niebotyczną, niemożliwą do pokonania przeszkodą. On usuwa z niego kamień po kamieniu, tworzy okna, a w końcu przejście. Dzięki temu jest z ludźmi i z tej i z drugiej strony ogrodzenia. Wciąż szuka z nimi bliskości, przyjaźni, i znajduje to. Dzięki temu ma prawo pisać o miłości, o samotności, o odejściach – tych na jakiś czas i tych ostatecznych.

Jest człowiekiem wrażliwym, bo przecież nie można być poetą bez tej cechy. Jest to wrażliwość poety spotęgowana wrażliwością księdza i spowiednika zarazem, wrażliwością człowieka...

I tu pojawia się paradoks losu: z jednej strony wrażliwość, z drugiej – konieczność obcowania z cierpieniem, z chorymi, bo przecież ksiądz Jerzy jest kapłanem szpitalnym. On ma pacjentom nieść otuchę. To od niego oczekuje się, by jak Szymon Cyrenejczyk wziął na swoje barki ich krzyż. Czyni to, a jednocześnie zdaje sobie sprawę ze swojej bezradności. W zbiorze „Z przychodni wierszy kapłana” jest taki tekst:

*nieważny dzień ani miesiąc wystarczy
zapach pierników a to już święta
bożego narodzenia
zosia siedzi przy łóżku i ma włosy
uczesane w kucyki dzisiaj przyjdą
koledzy z podwórka
januszek bawi się swoimi palcami
wciąga i wyciąga ze szklanki z wodą
dorzuci za chwilę szczękę
słyszę dlaczego ksiądz nie ma piżamy
nie patrzyłem im wtedy w oczy*

To wiersz o jego duchowych podopiecznych z drezdeńskiego szpitala.

Poeta Jerzy Hajduga nawet daleko poza granicami Drezdenka z tym właśnie miastem jest kojarzony, chociaż przybył tu z Krakowa. Jestem dumny, jako mieszkaniec Drezdenka, że właśnie te uliczki on przemierza, że w tym szpitalu pochyla się nad chorymi, że tu głosi mądre słowo z ambony i tu tworzy swoje mądre wiersze i pisze felietony.

Krystyna Kamińska

DZIURY W MURZE

W końcu kwietnia obchodziliśmy w Drezdenku jubileusz księdza-poety Jerzego Hajdugi. Było bardzo uroczyste, z udziałem władz świeckich, duchownych i licznie zgromadzonych przyjaciół z Drezdenka oraz kilkusobowej delegacji kolegów po piórze z Gorzowa. Z tej okazji ukazał się już 14. tom wierszy Jerzego Hajdugi. A do tej niemałej przecież liczby dodać należy dwie książki z felietonami, scenariusz przedstawienia teatralnego wystawionego w Olsztynie, kilka słuchowisk nadanych przez radio, wiersze na łamach wielu pism o ogólnopolskim zasięgu. Dorobek więc znaczący, niewielu autorów naszego regionu może się poszczycić taką ilością publikacji.

Jerzy Hajduga jest w Zakonie Kanoników Laterańskich i tu leży przyczyna, że tworzy po cichu, bez reklamy i stawiania do konkursów, na przykład o Lubuski Wawrzyn Literacki. A szkoda, bo zapewne wtedy więcej osób dowiedziałoby się o jego niezwyklej poezji. Jerzy Hajduga pisze wiersze krótkie, często zaledwie dwuwersowe. Jak sam kiedyś żartował, pozostawia tylko to, czego nie uda mu się skreślić. A przecież każdy czytelnik, który choć raz zetknął się z wierszami księdza Jerzego, od razu rozpozna jego autorstwo. Poeta świadomie – jak sam określił – rozmilcza się na wiele głosów, jakby namawiał czytelnika, aby myśl autora samodzielnie rozwijał, dopowiadał znaczenia.

Jako że poeta pełni jednocześnie służbę kapłańską, stała obecność Boga jest w jego wierszach oczywista, ale stawia pytania, na przykład:

*Patrząc na mur klasztoru w środku nocy
zastanawiam się, z której strony Bóg go ogląda...*

W poezji księdza Jerzego często powraca motyw muru, który dzieli ludzi od siebie, od Boga, od wszelkich idei czy wartości moralnych. On sam kreuje siebie jako tego, który mozolnie wybija dziury w tym murze, aby dotrzeć do człowieka, poznać jego rozterki, podać dłoń, pocieszyć.

W ostatnich tomikach często wraca motyw śmierci, jak sądzę przede wszystkim dlatego, że Jerzy Hajduga jest kapłanem w drezdenckim szpitalu, a więc to on niesie otuchę umierającym. Jak w króciuteńkim wierszu ze znaczącym tytułem: „Nie na łożu”. A sam wiersz brzmi:

*w trumnie z ręcznej
ściele się śmierć.*

Ten wiersz ma także drugą wersję, trochę dłuższą, ale o ileż smutniejszą.

*w trumnie z ręcznej
ściele się śmierć
coraz głębiej myśli o położeniu
miarę bierze ze mnie.*

Dwie cytowane wersje zamieszczone zostały w tomie, który ukazał się z okazji jubileuszu i benefisu księdza Hajdugi pod jakże znaczącym tytułem: „Powieki wieków”. A może „Po wieki wieków”?

Jerzy Hajduga, „Powieki wieków”, Poznań 2012

JERZY HAJDUGA

Mój Nikifor...

A właśnie, że mój!

(rozważanie uzupełniane biegiem dni i lat)

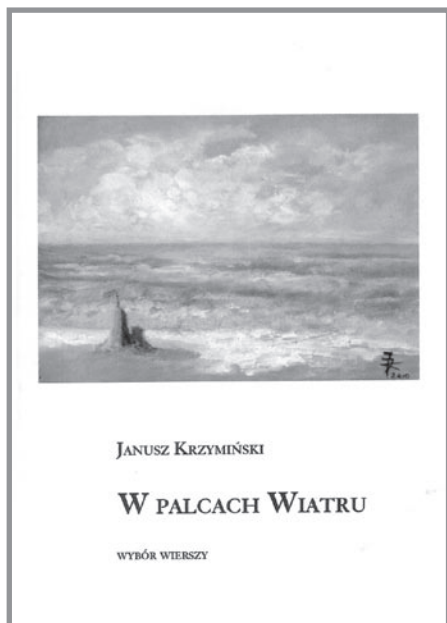
Może to wpływ aury wiosenno-zimowej, może choroza przyjaciela, ale od dłuższego czasu nachodzą mnie różne dziwne myśli. Żeby je odpędzić, postanowiłem obejrzeć po raz enty film Krzysztofa Krauzego „Mój Nikifor”. Film o znanym malarzu, a konkretnie o spotkaniu i dziwnej przyjaźni dwóch mężczyzn – artysty i jego opiekuna. Tego wieczoru znowu nie mogłem zasnąć. Przypomnieli mi się moi uczniowie, którzy patrzą na mnie jak na prawdziwego poetę, w dodatku w sutannie, co ma dla nich prawie świętą moc i wydaje się być zarezerwowana dla niewielu kapłanów. Sami chcą pisać i piszą jak ja, tylko że więcej i lepiej. Wbrew opiniom – że jest coraz mniej lirycznie na tym świecie – oni jako poeci jeszcze chodzą po ziemi. A raczej przemykają się zawstydzeni, cisi, przepaszający, że coś chcieliby powiedzieć.

Pamiętam wieczór, już byłem odwiedzić chorych w szpitalu i po innych duszpasterskich obowiązkach, a tu telefon: „Proszę księdza, to my, deszcz wreszcie pada, idzie z nami ksiądz na spacer?”. I poszedłem z nimi. Zachowywali się jak na scenie z filmu, gdy Nikifor prowadzony przez swojego opiekuna po raz pierwszy przechodzi kilkakrotnie przez obrotowe drzwi, bawiąc się jak dziecko. Byliśmy szaleni, nie bacząc na różnicę wieku między nami, czuliśmy się w swoich pomysłach jak nie z tej epoki prawdziwi poeci.

Pisanie to samotność, która czasami wydaje się nie do zniesienia. Piszemy i widzą nas tylko cztery ściany pokoju, nie odezwie się komórka ani żaden inny telefon. Poeta zachowuje się tak, jakby postępował według jasných, choć jemu tylko dobrze znanych, reguł. Bez ustanku tworzący Nikifor tylko na moment przerywa swoją pracę, by wygłaszać kateryczne sądy nieznośnym sprzeciwu głosem. Tak jakby nie mówił w swoim imieniu, tylko za jakimś niewidocznym suflerem powtarzał prawdy niepodważalne. Poezja to nie jest coś nadanego z urzędu, to kwestia owej „iskry Bożej”, której nikt jeszcze nie widział, a której nie można wykrzesać żadną siłą woli ani wyobraźni.

W miarę rozwoju ekranowych wydarzeń coraz głębiej wchodzę w świat Nikifora i coraz lepiej odczuwam jego magnetyzm. Łagodne linie wzgórz otoczone marznącą mgłą, cisza opustoszałej Krynicy, obraz samochodu wruszająco mozolnie pnącego się do góry – wszystkie te obrazy zapadają w pamięć i tracą swą dosłowność. A także podpowiadają, od kogo czerpał siłę do swej pracy Nikifor, i do opieki nad nim jego przyjaciel.

Już, albo dopiero, 25 lat moje życie kapłańskie spleta się z podobnymi do Nikifora ludźmi jak jakieś metafizyczne przeznaczenie. Reżyser określił swoje uczucie do artysty tytułem „Mój Nikifor”, mnie już tylko pozostaje dodać: A właśnie, że mój.



Poeta Ziemi i Morza

26 kwietnia 2012 r., o godz. 17.30 w sali multimedialnej w szczecińskim Pałacu Młodzieży swój podwójny jubileusz: urodzinowy 80- i literacki 50-lecia obchodził **Janusz Krzywiński** – poeta i prozaik, tłumacz, redaktor, scenarzysta i operator filmowy, bibliotekarz, nauczyciel, inspicjent. Debiutował na antenie Polskiego Radia w Szczecinie (1955), później wielokrotnie jego utwory były prezentowane na „falach eteru”. Drukiem pierwsze wiersze ukazały się w tygodniku „Ziemia i Morze” (1956). Należy do Związku Literatów Polskich Oddział w Szczecinie (1961) oraz Regionalnego Stowarzyszenia Literacko-Artystycznego w Policach (2007).

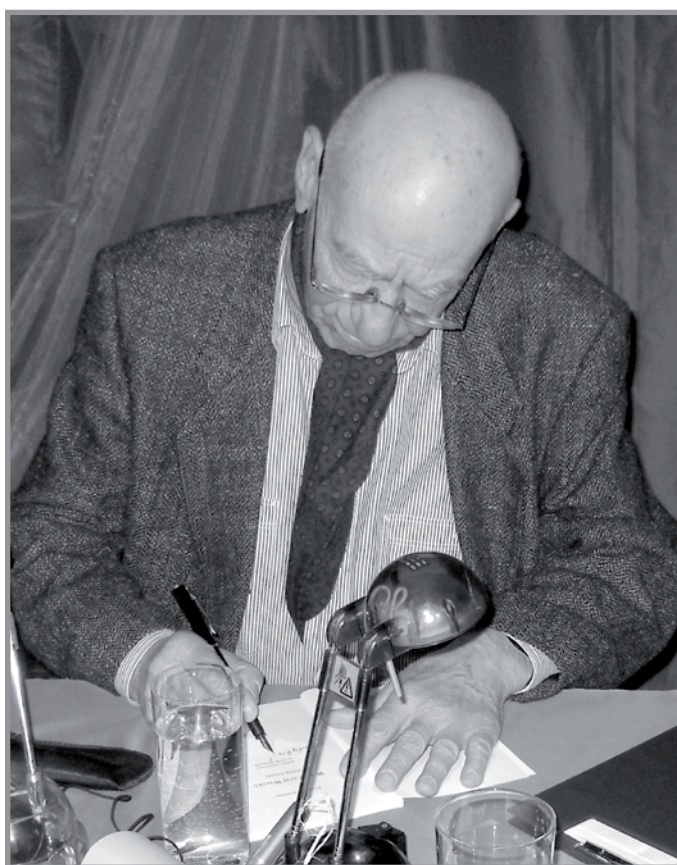
Jubileuszowy wieczór był promocją najnowszego tomu Jubilata pt. „W palcach Wiatru”. Poeta nie tylko czytał swoje wiersze, ale też wspominał barwne minione lata, kiedy to animował życie artystyczne naszego miasta wraz ze znajomymi szczecinianami. Dopisała publiczność, a Jubilat przyjmował gratulacje i życzenia od bliskich, przyjaciół i kolegów z ZLP i RSL-A w Policach.

Róża Czerniawska-Karcz

JANUSZ KRZYWIŃSKI

Urodził się 80 lat temu na ziemi kujawskiej. 73 lata wstecz zamieszkał w Warszawie, a o wydarzeniu sprzed 68 lat napisał w wierszu „Niewysłany list”: *Chłopcy z Waffen SS / podpalili dom / [...] / A że cało z tego wyszliśmy? / Cóż – niezbadana jest Łaska Boska...* Od 65 lat jest szczecinianinem. Absolwent męskiego Liceum Ogólnokształcącego nr 2, zwanego „Pobożniakiem”, gdzie zdał egzamin maturalny. Tam też 64 lata temu spotkał Władysława Broniewskiego. Jego wspomnienie z tego spotkania Mariola Pryzwan zamieściła w swej najnowszej książce biograficznej o Broniewskim pt. „W słowach jestem wszędzie” (2011).

Ze sceną teatralną pierwszy raz zetknął się 59 lat temu. Najpierw w Teatrze Polskim we Wrocławiu, potem w Szczecińskim Teatrze Dramatycznym i Operetce Szczecińskiej na zaproszenie Jacka Niezychowskiego, jak również w Akademickim Teatrze Satyrycznym „Skrzat” i w Kabarecie Literackim „Okaryna” u Ireneusza K. Szmidta. A także w Studiu Pantomimy Politechniki Szczecińskiej. Równoległe były jeszcze sceny plenerowe, radiowe i telewizyjne: w Amatorskim Klubie Filmowym z Januszem Pietrzykowskim przy Zrzeszeniu Studentów Polskich w Szczecinie, który później przekształcił się w Akademicki Klub Filmowy „Szczecin”; w Pomorskim Zespole Filmowym „Milenium” u Jerzego Grygolunasa, powołanym przez Towarzystwo Rozwoju Ziem Zachodnich; w Rozgłośni Polskiego Radia w Szczecinie i w Koszalinie, okazjonalnie w Studio Młodych u Andrzeja Androchowicza, i przez kilka lat w Zakładzie Produkcji Filmów Telewizyjnych Ośrodka TVP w Szczecinie.



Zdjęcie: Janusz Krzywiński podczas spotkania autorskiego podpisujący swój najnowszy wybór wierszy pt. „W palcach Wiatru”. 26 kwietnia 2012 r., Pałac Młodzieży w Szczecinie, 13. Wieczór Literacki prowadzony przez Różę Czerniawską-Karcz – prezes ZLP O. w Szczecinie / fot. R. Karcz

Wśród kolejnych doświadczeń była scena słowa i obrazu, czyli grupa poetycka „Metafora”, która zaczęła swą działalność około 57 lat temu i trwała przez blisko 11 lat. Stworzyli ją: Józef Bursewicz, Andrzej Dzierżanowski, Ryszard Grabowski, później dołączył Edward Balcerzan. Grupa poetycka, a później poetycko-plastyczna organizowała różnego rodzaju spotkania i prowadziła działania prezentujące poezję i malarstwo. 57 lat temu zaprezentował swoje wiersze na antenie szczecińskiej rozgłośni radiowej; rok później opublikował pierwszy raz swoje wiersze drukiem w tygodniku „Ziemia i Morze”. Ponad 50 lat temu zadebiutował literacko wydaniem pierwszego tomiku poezji pt. „Smak moreli”, wtedy też został przyjęty do Związku Literatów Polskich. Kolejny tom „List w butelce” na rynku jest od 27 lat, zaś najnowszy dopiero co wyszedł z rąk wydawców. Najmniejszy jubileusz, ale... liczący 5 lat, wiąże się z przynależnością do regionalnego Stowarzyszenia Literacko-Artystycznego w Policach na zaproszenie Mariana Yoph-Żabińskiego.

Przez trzydzieści lat popularyzował literaturę marynistyczną krajową i zagraniczną, za co 42 lata temu został uhonorowany Złotą Odznaką Zasłużonego Popularyzatora Wiedzy przez Towarzystwo Wiedzy Powszechnej. Wykazywał się również, wykładając historię teatru i wybranych zagadnień z kultury, pracując w Zakładzie Nowych Technik Nauczania Politechniki Szczecińskiej.

Janusz Krzymiński przez ponad 60 lat odgrywał różne role w świecie artystycznym, szczególnie zaś dał się poznać jako: inspicjent, aktor teatralny i filmowy, operator filmowy, scenarzysta i reżyser, konferansjer, poeta, prozaik, tłumacz, redaktor, nauczyciel, malarz, a także bibliotekarz, prelegent i wykładowca, a zwłaszcza pisarz. Jednym zdaniem, animator kultury słowa i obrazu.

W PALCACH WIATRU

to tytuł najnowszego wyboru wierszy Janusza Krzymińskiego, który w moim mniemaniu, powyższe zawołowania skrywa. Jedną z odsłon niniejszego tomu poezji są utwory w scenerii morskiej. Na przestrzeni całego okresu tworzenia morze i woda, a z nią udręka i przygoda, przewijają się w jego utworach. Podwójny jubileusz Autora: 80-lecie urodzin i 50-lecie debiutu literackiego w postaci tomu wierszy, skłania do podjęcia refleksji na przykład nad treścią utworów i motywami ich powstania. O poezji Krzymińskiego Tadeusz Grabowski napisał: „Jego porównania są trafne i nośne poetycko, są nieraz próbą odświeżenia obrazu natury...”. Obok przedstawiam wybrane utwory powstałe na przestrzeni półwiecza, przez które Autor przewlókł jedną wspólną nić. Jaka? Zapraszam do lektury.

Adam W. Siedlecki

Wstęp do dalekiej podróży

Oczy porzucają zieleni drzewa.
Miasto odpływa na grzbiecie rzeki.
Na bulwar parami wchodzą cienie zmierzchu.
Krótka przyjaźń łądu, niespełniona gaśnie.
Odejdź od okna i nie patrz na morze,
które nawołuje światłami okrętów.
Niech liść co jest sercem, opowiada jeszcze...
nim głos syreny powierzy statki horyzontom
i koniec podróży w początek zamieni...

Na redzie

Wiatr
powiewa szarą chustą nieba
i wyżyma ją na falę
kołysząc kotwiczne łańcuchy.
Łąd
w rozstrzępionym woalu mgły
wciąż milczy...
Nadzieje zniecierpliwione
chwytają się różnych prac
by odgonić tęsknotę.
Jedynie burtowe światła
płoną niewzruszenie.
Bo – jeszcze jedna noc
i
jeszcze jeden dzień.
Bo
jeszcze nie koniec żeglugi.

Sosenka

Wydm panna
a wdowa po lasach
choć ją ominęła śmigła duma masztów
lecz wichrom nieustępliwe jej wąż ramiona
gdy błękit rozpościera
w tym poranku drżący
Łądu zazdrośnie strzegąc
przed podstępem morza
zakochana w obłoku
a wierna wybrzeżu.

Krystyna Kamińska

Pracować w Anglii

Z przyjemnością anonoszę ciekawą powieść autorki z Gorzowa wydaną przez Warszawską Firmę Wydawniczą. Łucja Fice znana była w naszym środowisku jako poetka, wcześniej wydała trzy tomiki. Teraz dała nam powieść „Przeznaczenie” wydaną z finansową pomocą jej pracodawcy, czyli firmy „Promedica” świadczącej usługi opiekuńcze i pielęgniarskie. Bo Łucja Fice, jak wiele Polek, pracowała na Zachodzie jako opiekunka osób starszych i swoje doświadczenia opisała w formie powieści.

Gabrysia, czyli u Anglików Gabi, w Polsce nie mogła znaleźć pracy, natomiast miała dorastającą córkę i mało „zaradnego” męża, postanowiła więc szukać pracy za granicą. Dostała ją w domu pomocy społecznej w Walii, w robotniczej, zaniedbanej miejscowości. Łucja Fice daje wnikliwy opis warunków życia w tym regionie Wielkiej Brytanii, daleko odbiegający od naszych wyobrażeń. Dom, w którym przyszło jej pracować, jest świetnie wyposażony, praca tam doskonale zorganizowana, każda chwila opiekunek skrupulatnie wypełniona. Tyle że praca ogromnie wyczerpująca nie tylko fizycznie, ale przede wszystkim psychicznie, bo w stałym kontakcie z ludźmi starymi, na ogół niesamodzielnymi, wymagającymi różnych form opieki od karmienia po przewijanie. A przy tym, na ogół niezyczliwymi, wręcz złośliwymi, którzy mimo dobrych warunków nie chcą akceptować swojego pobytu w tym domu. Zajmują się nimi kobiety z całego świata, głównie Azjatki. Gabi ma tę przewagę nad koleżankami, że jest lepiej tu przyjmowaną Europejką. Obraz funkcjonowania angielskiej placówki i warunki pracy opiekunek to dla mnie podstawowy walor tej powieści. Łucja Fice pokazała nam świat, którego w Polsce jeszcze chyba sobie nie uświadamiamy, bo nasi seniorzy żyją na ogół w rodzinnych domach. Ale za parę lat problem godnej starości stanie się równie nabrzmiały jak w Anglii.

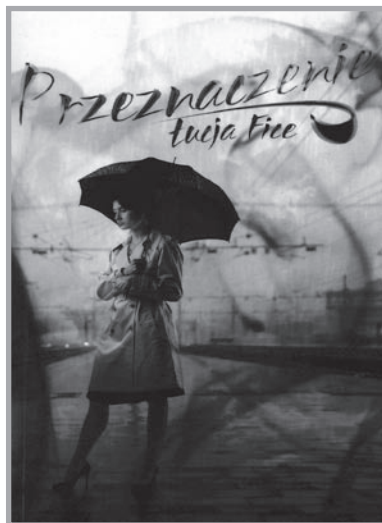
Równie interesująco poznawczo przedstawione są warunki życia pracowników z Polski, bo Gabi nie jest całkiem sama. Dlaczego starsi i młodszy decydują się na wyjazd z kraju, czego oczekują, jak spełniają się – lub nie spełniają – ich nadzieje to równie ciekawa płaszczyzna tej książki.

Przed załamaniem psychicznym Gabi ratuje się w różny sposób. Wiele razy śni jej się matka, która przekonuje ją, że pracując tu wypełnia tytułowe przeznaczenie. Gabi poszukuje sensu swojego tam pobytu, długo nie znajduje, aż wreszcie trafia na osobę, która... Oczywiście nie powiem, kto był tym przeznaczeniem, choć rozwiązanie tego wątku mnie nie przekonuje. Natomiast ciekawie pokazana jest sfera uczuć. W Polsce pozostał mąż, z którym wiąże Gabrysię całkiem poprawne małżeństwo, ale tam też chciałoby się mieć kogoś bliskiego. Jak pogodzić tego w kraju z tamtym w Anglii? Gabi sobie poradziła. Przeczytajcie. Mogę jedynie dodać, że dzięki temu zatrudnieniu Gabrysia spełniła jeszcze jedno swoje marzenie: jej córka po zrobieniu matury rozpoczęła studia w Anglii.

Powieść „Przeznaczenie” napisana jest potoczystym, prostym językiem, z dużą ilością dialogów i dobrze się czyta, mimo że świat tam przedstawiony do przyjemnych nie należy.

Leszek Żuliński

Za chlebem



Emigracja zarobkowa Polaków ma już niemal swoją 150-letnią tradycję. Po roku 1990 otwarto granice i mamy do czynienia z kolejną falą tego zjawiska. To musiało prędzej czy później znaleźć swój wyraz w literaturze; jednym z najwybitniejszych nowych autorów tego exodusu był Edward Redliński.

Myślę, że ta tematyka dużo zyskała, od kiedy Łucja Fice chwyciła za prozatorskie pióro. Łucja spędziła „na saksach” kilka długich lat – w Anglii, Walii i Niemczech. Dziś jest autorką trzech utworów prozatorskich opisujących te lata przepracowane z dala od domu.

Właśnie ukazała się pierwsza z tych książek – powieść pt. „Przeznaczenie”, opisująca gastarbajtowniankę bohaterki, Gabrysi, w Walii. Powieść „pełnowymiarowa” – nie reportaż, nie dziennik, tylko fabuła wykraczająca poza samą faktografię. Fabuła wykraczająca nawet poza realizm, bowiem Gabrysia pracująca w walijskim domu opieki dla starców m. in. zajmuje się mężczyzną o polskich korzeniach i dziwnych splotach okoliczności w jego minionej biografii, które zbliżają go do polskiej opiekunki. Nie będę tu zdradzać tych intrygujących wydarzeń, ale powieść na tym planie zamienia się w piękną opowieść o ezoterycznych ścieżkach życia i przeznaczeniu, jakie po latach ścieżki te splata. Na tym poziomie książka ma wartości uniwersalne, które mogłyby być usytuowane zawsze i wszędzie. Jednak to one właśnie (oraz – rzecz jasna – język narracji) decydują o literackości tej prozy. To wszystko wszakże usytuowane jest w konkretnym „tu i teraz”. A więc tłem tego zasadniczego wątku jest praca i dzień codzienny międzynarodowej enklawy przebywającej „dla chleba” w obcym kraju o innych zwyczajach i kulturze. Tu też Fice poradziła sobie świetnie z realiami emigracyjnego życia. Ciekawe jest to zderzenie na każdym kroku „przyjezdnych” i „miejscowych”, opis konfliktów obyczajowych i biurokratycznych, zwykłe warunki życia, charakter pracy w sferze socjalnej, która dostarcza dodatkowych emocji, graniczących z napięciami. Zaś arcyciekawa, bo wnikliwa i wrażliwa, była dla mnie sfera emocjonalno-psychologiczna takiego „wzgnania”. Tęsknota za domem, rodziną, krajem, kłopoty adaptacyjne, alienacja, samotność, smutki, chandry, konflikty... Na dodatek autorka wplotła w fabułę wątek miłosny, który i upiększa, i dramatyzuje fabułę. Walia jest pokazana bardzo prawdziwie, drobiazgowo – kto nie był, dowie się dużo! Dlatego właśnie losy Gabrysi i jej perturbacje śledzimy nie tylko bez znużenia, ale i z empatią, i – przy okazji – z narastającą refleksją na temat robotczej diaspory polskiej rozrzuconej po całym świecie.

Myślę, że ta książka stanowi ważny przełom w do-tychczasowych (głównie poetyckich) doświadczeniach i perspektywach Łucji Fice. I że literatura polska „wątku emigracyjnego” zyskała ciekawe świadectwo tej polskiej rzeczywistości rozrzuconej w różnych regionach świata.

Znam dwie kolejne prozy Łucji poszukujące obecnie wydawcy. Są to opowieści podobne, lecz dorzucające nam wiele nowych treści i emocji. Pierwsza z nich toczy się w Niemczech, druga w Anglii. Myślę, że w sumie będzie to tryptyk, który autorkę z Gorzowa w tej puli polskiej prozy współczesnej zakorzeni z dobrym, rozpoznawalnym zna-kiem jakości i mądrości.

Lucja Fice, „Przeznaczenie”, Warszawska Firma Wy-dawnicza s.c., Warszawa 2012, s. 340

Lucja Fice To nie bajka

Daleko od szosy, na angielskiej łące,
plonącej od ognistożółtego kwiecia ostrokrzewu,
który jak choroba wżerał się w ciało okolicy,
stał zamieniany w ruinę domek.
W ogródku, tuż za oknami, rosły ekscytujące
jak wiersze niebieskie kwiatki.
Dach przeciekał, wszystko puchło od wilgoci.
W rogach domu rosły grzyby, a w czeluściach
dawnego paleniska ptaki urządziły sobie
przytulne mieszkanie.
Żyła tu wiekowa babina. Razem z nią piesek,
kotek i króliczek – wszyscy jadali z jednej miski.
Przynosiłam im środki czystości i jedzenie.
Codziennie o dziewiątej – śniadanie
i stare angielskie opowieści.

Któregoś dnia zapytałam:

– My sweat lady – dlaczego nie zamieszkas
w domu opieki?
– O! moja droga Lucy – kto by mnie tak kochał?

Tutaj szumią drzewa, które sama sadziłam,
ogrzewa mnie oddech ziemi, pijam nektar
z samego słońca.

Tu dojrzewa mój miąższ.
I tu pęknie moja lupina.

*(Z przygotowanego do druku tomu wierszy pt.
„Opiekunka”)*

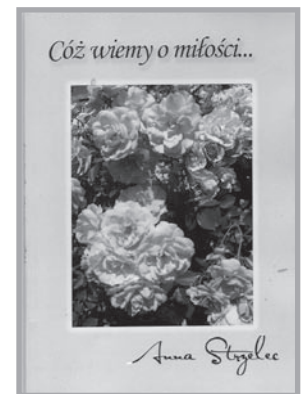
Tomik z tęsknotami

Anna Strzelec jest autorką trzech książek prozatorskich, a ostatnio wydała tomik wierszy. Dwie pierwsze, pod tytułami „Tylko nie życz mi spełnienia marzeń” i „Druga strona życia, czyli jak zabija się miłość”, prezentują historię polsko-niemieckiego małżeństwa. Trzecia

– „Wiza do Nowego Jorku” opowiada o jednym nieudanym i jednym udanym związku głównej bohaterki w scenerii stolicy świata, czyli w Nowym Jorku. Nawet tak skrótowo podana tematyka pozwala wyobrazić sobie, jakie uczucia są udziałem bohaterek tych książek. Oczywiście, najważniejsza jest miłość, ale zawsze połączona z rozczarowaniem, które z kolei rodzi nadzieję, tęsknotę i naturalne oczekiwanie na kolejną miłość. W każdej książce Anna Strzelec wplata do narracji krótkie wiersze. Mają one wzbogacić opisy stanów emocjonalnych głównej bohaterki, wyrazić jej uczucia, podkreślić relacje z bliskimi, których jeszcze nie chce lub nie potrafi wyrazić słowami. Przyznaję, w powieściach takie wtręty trochę mnie mierzwiły. Wszak dobry autor wszystko umie powiedzieć w przyjętej, jednorodnej formie. Ale Anna Strzelec świadomie lubi mieszać prozę z poezją.

Ostatnio uznała, że wiersze te mogą żyć także życiem niezależnym, wyjęła je z kart powieści i wydała w formie książkowej pod tytułem wyjętym z refrenu znanej piosenki „Cóż wiemy o miłości...”. Jest tu jeszcze trochę wierszy nowych, a tom zamyka rozdział „Gościnnie u Anny Strzelec”, do którego autorka zaprosiła dwoje młodych poetów. Okładka słodko różowa ze zdjęciem równie różowych róż. I dalej w tym samym tonie: tęsknociki, uśmiechy, westchnienia, marzenia, wspomnienia. Jako pojedyncze, wiersze te nawet się bronią, bo każdy z nas ma w sobie podobne uczucia, które odżywają przy lekturze takich prostych tekstów. Dużo tu przyrody, dużo kolorów, w sumie świat łagodny, spokojny, choć ciągle z tęsknotami, które nie odstępują kobiet w żadnym wieku. Moją uwagę zwróciły wiersze z rozdziału „Dzieciom...”. Są okruciami kontaktów autorki z małymi dziećmi, jej ukłonem w stosunku do sposobu myślenia dzieci. Nie ma w nich jednak żadnych przejawów infantylności, autorka uruchamia swoją wyobraźnię, by wejść w świat dzieci. Szkoda, że ten właśnie rozdział jest w całym tomie najkrótszy. Choć wiersze podzielone są na rozdziały, niestety, nie odczytuję zwartej, świadomej kompozycji tomu.

Krótko mówiąc: różowy tomik z tęsknotami ozdobiony zdjęciami pięknych kwiatów. Moim zdaniem, dla literatury bez znaczenia. W zakresie wiedzy o miłości nie dodał nic nowego. Wolałabym, aby Anna Strzelec pozostała wierna swojej prozie. Tam wymyśla znacznie ciekawsze historie niż duchowo-kwiatowe westchnienia.



Krystyna Kamińska

Po co komu niebieskie motyle?

Lubię twórczość Ludwika Lipnickiego przede wszystkim za to, że daje ona czytelnikowi poczucie porządku w świecie. My wszyscy stale za czymś gonimy, czegoś nam brak, wspominaemy, kochamy, odrzucamy, tęsknimy, uciekamy. A Ludwik Lipnicki zna miarę czasu i sensu tego, co dzieje się w naturze i w ludziach. Z wykształcenia jest przyrodnikiem, profesorem. W gorzowskim AWF-ie kieruje Zakładem Biologii i Ochrony Przyrody, a specjalizuje się w badaniu porostów. Naukowo porosty są organizmami pionierskimi, porastającymi korę drzew, kamienie, gleby najbardziej ubogie i raczej suche. Są bardzo czułym wskaźnikiem czystości atmosfery. Specjalna skala pozwala na podstawie składu gatunkowego porostów określić stopień zanieczyszczenia atmosfery. Tym niepozornym żyjątkom Lipnicki poświęcił ważny wiersz zatytułowany „Porost”. Zaczyna od pytania:

Byłem, jestem. Czy będę?

I dalej szerzej:

*Oto ja,
matuzalemowy trybik w Chronosa porządku
zwyczajnie szary
jak człowiek codzienny
pozornie zbędny darczyńca.
nie będę...
zatem nic nie będzie...*

Ten nieważny dla ludzi porost okazuje się miarą istnienia świata. Jeśli jego nie będzie, cała przyroda skazana jest na zagładę. Natura nauczyła Lipnickiego, że nasze liczne duchowe zmagania nie mają sensu, gdy będziemy ingerować w porządek przyrody.

Takie prawdy obecne są w dwóch wcześniejszych zbiorach wierszy i w trzech książkach prozatorskich Ludwika Lipnickiego. Natomiast najnowszy tomik nie tyle burzy tamten porządek, co przygląda mu się z przymrużeniem oka. Autor dał mu tytuł „Łapacze snów”. Sny nie są zakwalifikowane do żadnego przyrodniczego porządku, a ich łapanie – jak wiemy – jest czynnością bezsensowną. Czy więc mogą istnieć łapacze snów? Całą książkę ilustrują obrazy prawie zapomnianego ba-



warskiego malarza z I połowy XIX wieku – Carla Spitzweiga – trochę idylliczne, trochę karykaturalne. Na okładce romantyczny las, nawet z palmami. W jego środku śmieszny człowieczek (naukowiec?) z małą siatką na motyle. A przed nim ogromne, niebieskie motyle, których na pewno w ten sposób nie złowi. Czy to siebie, naukowca, łowiącego motyle, czyli sny, imaginacje pokazał nam Lipnicki? Są trochę jak jego wiersze:

*Moje wiersze zbierane
po lasach
po polach
po górach
między Ziemi sprawami
a wzniosłością nieba
tam zawieszono
istnieją
czekają.*

Ich nie trzeba stwarzać, a wystarczy tylko spisać i dać ludziom.

A przecież w całym tomie – na szczęście – przeważają nie te niebieskie motyle, a wiersze o porządku świata, o przemijaniu wynikającym z natury rzeczy, pozbawione smutku, nadające sens życiu i światu.

Tom wierszy Ludwika Lipnickiego „Łapacze snów” wydało krakowskie wydawnictwo „Miniatura”. Mój egzemplarz jest pięknie oprawiony w szare płótno. Aż chce się trzymać go w ręce. I czytać, czytać...

Krystyna Kamińska

Ludwik Lipnicki, „Łapacze snów”, Wydawnictwo „Miniatura”, Kraków 2011, 72 s.

LUDWIK LIPNICKI

Pochwała czasu

Chwała ci czasie wiosenny
za kwietne dywany

chwała wam letnie dni
za ciepło i snów spełnienie
chwała ci jesieni
za złota, czerwienie i brąz
a kolor zadumy
ziemie zostawiony

Cichym lotem

Cichym lotem ómy
niespodziewanie
wracają twoje słowa
z tamtego wieczoru

spalają
w ogniu wspomnień
misternie tkają
nadzieję

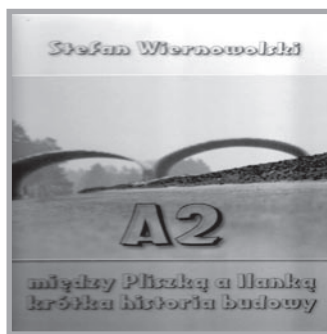
Pamięć

Przecież drzewo niewinne
że wiatr je powalił
na pniu butwiejącym
nowe życie się rodzi
liście glebę użyźniły
i fiołki leśne zakwitły
milczysz
bo ciągle pamiętasz

Albumy i legendy

Fotograf Stefan Wiernowski mieszka w Sulęcinie, około 10 kilometrów od węzła na autostradzie o nazwie Ilanka od niewielkiej rzeki płynącej w sąsiedztwie Torzymia przez Pojezierze Lubuskie, Rzepin do Odry. W tym miejscu przez wiele lat Stefan Wiernowski zbierał wspaniałe rydzy. Gdy zapadła decyzja o przebiegu trasy i gdy wiedział, że rydzów tam zbierać więcej nie będzie, on, dokumentalista i artysta, postanowił aparatem fotograficznym rejestrować przemianę tego miejsca. Na pierwszych zdjęciach dziewicza przyroda. Prace rozpoczęto w końcu 2008 roku. Na kolejnych zdjęciach pnie wykarczowanych drzew, stanowiska archeologów, którzy jako pierwsi wkroczyli na teren przyszłej budowy. Potem trzeba było przemieścić ogromne ilości ziemi, a właściwie żółtego piasku, bo takie tam jest podłoże. Bardzo to wdzięczny temat dla fotografa. Zwały piachu układające się w księżycowe krajobrazy, pionowe ściany sztucznych wawozów, błoto i jeziorka naturalnie tworzone przez deszcze. Nie wiem, czy już wtedy Stefan Wiernowski myślał o zebraniu tych zdjęć w wielki album. Ale – jak wspomina – na pytanie dziewczyny: „Po co?”, zdziwionej, że biega po tych wykopach z aparatem fotograficznym, odpowiedział krótko: „Bo lubię”. Naprawdę trzeba lubić robienie zdjęć, by trudną i brudną robotę budowniczych drogi podnieść do rangi sztuki. Tak powstał wielki album „A-2 Między Pliszką a Ilanką. Krótka historia budowy”. Jest tu chyba z 500 zdjęć. Oglądam je z ogromnym zainteresowaniem. Nie mogę oderwać wzroku i nadziwić się, że taki przemysłowy temat Stefan Wiernowski przeobraził w zestaw zdjęć o wysokiej wartości artystycznej. Dopiero po nasyeniu wzroku obrazami dostrzegam opisy i podpisy. Pierwsze zaskoczenie: bardzo osobiste, prywatne, z nieodżałowanymi rydzami na początku. Potem o przeistaczanym świecie, o ludziach budujących autostradę, o zmianach, jakie ona przyniesie. Ten odcinek autostrady biegnie po historycznej ziemi torzymskiej, więc Wiernowski dorzuca legendy z dalekiej przeszłości, a także nowsze, powojenne opowieści, równie frapujące. Trochę zdjęć zachowanej dzikiej przyrody z okolic, najbliższe miejscowości: Torzym, Sulęcín, Łągów, Lubniewice. Pewnie ci, którzy będą pruć tę autostradą, nie zatrzymają się, aby obejrzeć uroki okolicy, ale niech je zobaczą choćby na kartach albumu. I ostatnie zdjęcia – krajobraz industrialny, sznur samochodów na szerokiej drodze oświetlonej tysiącami lamp. Nie ma dziewiczej przyrody. Trzeba zniszczyć naturę i zieleń, aby w tym miejscu powstało dzieło człowieka. Taki jest nasz świat. Stefan Wiernowski z nostalgią pokazał tę przemianę.

Drugi album tego autora nosi tytuł „Sekrety Łagowsko-Sulęcińskiego Parku Krajobrazowego”. Zawiera on mnóstwo wspaniałych zdjęć łagowsko-sulęcińskiej przyrody, a jednak nie na niej autor się koncentruje. Próbuje on stworzyć nowe legendy dotyczące tego obszaru. Gdy myślimy o legendach, zazwyczaj lokujemy je w dawnych, odległych czasach, a że zawsze są związane z regionem, więc legendy dotyczące naszych stron odwołują się do kultury niemieckiej. Tymczasem Stefan



Wiernowski szuka nowych legend w naszych, polskich czasach. I zazwyczaj legendy te rodzą się z uczuć, jakimi ludzie darzą te strony. Mamy więc serdeczną opowieść dzieci ostatniego niemieckiego leśniczego o domu, w którym się wychowały. Nie ma już ich leśniczówki, bo spłonęła w 1945 roku, pozostały jedynie stare drzewa, obecnie otoczone sporymi samosiejkami. A przecież miłość tych starszych dziś ludzi do zarośniętego skrawka ziemi spowodowała, że polscy władarze powiatu i gminy postawili tam pamiątkowy kamień. Kolejną legendę przyniósł Polak, także syn leśniczego, ale z innego leśnictwa, który opowiadał o rodzicach nawet w tym pustkowiu szykanowanych przez polskie służby bezpieczeństwa. Dziś ten Polak jest osobą wysoko postawioną w warszawskim świecie, ale chętnie przyjeżdża do łagowsko-sulęcińskiej głuszy. Ciekawe legendy wiążą się z sąsiadującym poligonem w Wędrzynie. Pierwsza dotyczy czterech wsi całkowicie niezamieszkałych, które są teraz polem ćwiczeń dla żołnierzy. A kiedyś tętniły życiem. Na tym poligonie w wypadku stracił życie amerykański lotnik, któremu miejscowi wystawili pomnik. Jeszcze inne opowieści wiążą się z przechowywaną na terenie poligonu bronią raketową. Gdy była, nikt o niej nie wiedział, ale miejscowi z rozrzewnieniem wspominają kontakty z sowieckimi żołnierzami. Dużą wartość ma opowieść o ostatnich dniach bazy tej broni w Wołkodawie. I nie chodzi tu o wyjazd Rosjan, a o dokumentne zatarcie śladów po magazynach i żelbetowych konstrukcjach. Zrobiono to w październiku 2011 roku. Nie ma już śladu po ważnych dawniej obiektach. Jest tu jeszcze opowieść o zapaśniku Leonie Pineckim i jego odkrywcy profesorze Kazimierzu Parfianowiczu, także o rybakówce, kiedyś niemal kurorcie, teraz obiekcie całkowicie zapomnianym.

Lubię takie opowieści związane z konkretnymi miejscami i z ludźmi, którzy nadali im sens, którzy podnoszą ich rangę, którzy czynią z nich miejsca niezwykle. Aby takie opowieści powstały, trzeba je po pierwsze wyszukać, a po drugie dobrze opisać. Stefan Wiernowski ma reporterskiego nosa i umie z codziennych spraw wydobyć to, co niezwykle. Z przykrością jednak muszę stwierdzić, że nie staje mu talentu do opisanego zdarzeń, a przede wszystkim emocji związanych z tymi miejscami. Jego opowieści są zbyt lakoniczne, zbyt powierzchowne. A chciałoby się, aby zapadały w serce.

W mojej opinii o książce zatytułowanej „Sekrety Łagowsko-Sulęcińskiego Parku Krajobrazowego” skoncentrowałam się na słowie, a pominęłam warstwę ilustracyjną, czyli znakomite zdjęcia. Górę wzięło recenzenckie skrzywienie. Tymczasem zdjęcia stanowią podstawowy atut tego albumu. Wydał go Urząd Miejski w Sulęcinie i tam należy go szukać.

Krystyna Kamińska

Stefan Wiernowski, „A-2 Między Pliszką a Ilanką. Krótka historia budowy”, *PHU Kacper 2011, 128 s.*

Stefan Wiernowski, „Sekrety Łagowsko-Sulęcińskiego Parku Krajobrazowego”, *Urząd Miejski 2011, 84 s.*

Cygańskie jak żyć?

Nie ma w Gorzowie bardziej utytułowanego człowieka niż Edward Dębicki. Otrzymał wysokie odznaczenia państwowe, kulturalne, a nawet bardzo rzadko nadawany tytuł Honorowego Obywatela Miasta Gorzowa. A wszystko to dzięki świadomemu kulturowaniu tradycji i kultury cygańskiej. Ba, ma nawet swój międzynarodowy festiwal, na który zjeżdżają artyści i widzowie z różnych krajów. Świetnie gra na akordeonie, komponuje, nawet reżyseruje całe widowiska. O twórczości literackiej Edwarda Dębickiego mówi się mniej, bo też raczej nie osiąga ona wyżyn jego muzycznego artysty. Właśnie ukazała się jego druga książka prozatorska, wcześniej był tom wierszy. Obie prozy – pierwsza z tytułem „Ptak umarłych” i druga zatytułowana „Wczorajszy ogień” są zbiorami wspomnień, anegdot, historii prawdziwych lub zasłyszanych, kto to zresztą dziś oddzieli. W pierwszym tomie Dębicki koncentrował się na czasach przedwojennych oraz na losach swojego taboru w okresie wojny. Pamiętać przy tym trzeba, że Cyganie byli drugą po Żydach nacją skazaną przez Hitlera na wyćpienie. Trudne to były dla Cyganów lata, pełne grozy i niesprawiedliwości. W tomie „Wczorajszy ogień” opisane zdarzenia dzieją się głównie po wojnie, w Polsce zwanej wtedy Ludową. Wtedy też padło na Cyganów zagrożenie niemal równe temu z lat hitleryzmu. Odgórny nakaz oblił ich do zamieszkania na stałe i prowadzenie osiadłego trybu życia, łącznie ze stałą pracą na etatach. A to dla Cyganów było wówczas równe uwięzieniu. Większość tragicznych historii tu opowiedzianych wynika właśnie z konfliktu między władzą, które wymusza porządek, a wolnymi duchami gnany przez wiatr. Dla Dębickiego-narratora tu nie ma dwóch racji: to on i Cyganie wiedzą, jak należy żyć, a ludową władzę uosobioną w milicjantach porównują do esesmanów, bo też jak oni ich „prześladowała”. Autor szybko zapomniał o hitlerowskiej eksterminacji... Jak to się stało, że w jednym pokoleniu cygańska tęsknota do swobody przerodziła się co najwyżej w wakacyjną przygodę, a Cyganie



od tułaczki wolą życie w wygodnym domu? Na takie pytanie Dębicki nie odpowiada. Pewnie nie jest to pytanie do niego, piewcy dawnych tradycji i wartości, ale do socjologów. A może zwyczajnie zadziałało prawo wygody? Bo jeśli może być wygodnie, to dlaczego ma być niewygodnie? Takie sobie snułam rozważania na marginesie lektury. Generalnie historyjki z życia taboru, w którym żył, także taboru Papuszy, która tu często jest obecna, z losów zespołu „Terno” i całego rodu Dębickich, historyjki te domagają się – w moim odczuciu – przeniesienia na grunt polskiej historii, stosunku władzy i społeczeństwa do mniejszości etnicznych. Opowieści Edwarda Dębickiego, także liczne zdjęcia tu pokazane – chyba po raz pierwszy, są dobrą okazją do nowego spojrzenia na lud żyjący tuż obok, a przecież osobno. Bo że w Gorzowie kochamy Cyganów, wynika właśnie z wieloletniej twórczej i artystycznej działalności Edwarda Dębickiego. Ani w Polsce, ani w innych krajach ogólnie tak dobrze nie jest.

Książkę wydało Stowarzyszenie Twórców i Przyjaciół Kultury Cygańskiej dzięki funduszom z Ministerstwa Kultury, a zilustrowała Magda Ćwiertnia. Szkoda, że jej stylowe obrazki są tylko ozdobą inicjalną opowieści, a nie stanowią samoistnej wartości. Na pewno wzmocniłyby cygański klimat całości.

Krystyna Kamińska

Edward Dębicki, „Wczorajszy ogień”, ilustracje: Magda Ćwiertnia, wydawca: Stowarzyszenie Twórców i Przyjaciół Kultury Cygańskiej, Gorzów Wlkp. 2011, 200 s.

Władysław Łazuka Cygańskie lato

Jechali Cyganie z wróżbą i muzyką
światło tańczyło w malowanych wozach
splatało grzywy koni iskrzyło w podkowach
jechali Cyganie jechali

W oddali tabory przygarniał chłód zielonych lasów
błękit strumieni jezior i rzek
wracali Cyganie na dawne drogi
ze słońcem toczył się ich los

W wieczory przy ogniskach słychać było pieśni
wirował i opadał pył
Jak wędrować to z Cyganami

bywać z nimi pod gwiazdami
słuchać o czym mówią płomienie
póki nie zgasi ich świt

Jak się bawić to razem z wami
dać się ponieść ziemi i niebu
zamieszkać w słowach melodii
być wolnym jak dym i wiatr

Bawić się radować gdy soczysta lata noc
serce oddać sercu i nie pytać o nic
serce przychylić sercu
szybować i nie pytać o nic

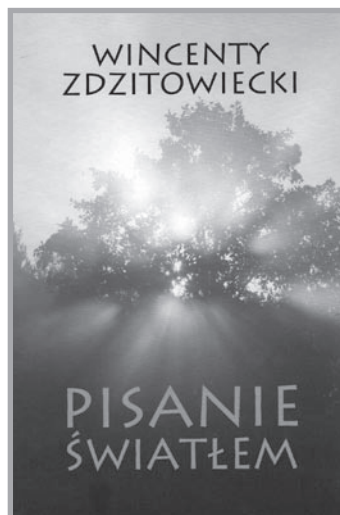
Świadek Wincenty Zdzitowiecki

„Pisanie światłem” to tytuł nowej książki wydanej przez gorzowską bibliotekę, która zawiera najlepsze utwory Wincentego Zdzitowieckiego. Ukazała się w piątą rocznicę śmierci autora. Spiritus movens tej publikacji była żona autora, Elżbieta, która ogromnie go wspierała w latach twórczości, a teraz wzorcowo dba o jego dorobek.

Wincenty Zdzitowiecki urodził się na kresach, z rodzicami osiadł pod Kostrzynem, a potem sam dzielnie przedzierał się przez życie, by dojść do pozycji redaktora naczelnego pism zakładowych, autora wierszy, reportaży literackich i opowiadań. Dużo w jego twórczości osobistych doznań, a szczególnie młodzieńczych rozterek wynikających z braku obycia, domowego ukształtowania, a także norm narzucanych politycznymi hasłami socjalizmu. Wieczne rozterki, co wolno, a co nie, na ile się odważyć w oficjalnych wystąpieniach lub w sferze uczuć i seksu, by nie być wyśmianym. Do tego obraz Kostrzyna i Gorzowa skąpany w socjalistycznej stylistyce i wartościowaniu. Utwory Zdzitowieckiego pokazują świat egzotyczny, ale i drogę, jaką przeszliśmy. Ponieważ wcześniej ujawniał ambicje literackie, był obecny przy organizacji w Gorzowie ruchu zwanego wtedy młodoliterackim. W książce mamy wspomnienia tamtych zdarzeń i procesów, które dziś tworzą historię miasta. Ale do stolika numer jeden, przy którym królowali prawdziwi poeci jak Zdzisław Morawski lub malarze jak Andrzej Gordon, on ze swoim proletariackim rodowodem nie miał odwagi się przysiąc, patrzył więc na tych wielkich z daleka.

W ostatnim okresie życia Wincentego Zdzitowieckiego dotknęła ciężka choroba – dystrofia mięśni. Z trudem się poruszał. Z powodu tej choroby wszedł w środowisko ludzi niepełnosprawnych i tam znalazł kopalnię tematów. W Gorzowie mamy silny klub sportowy niepełnosprawnych. O tych sportowcach słyszy się, gdy zdobywają tytuły i medale, nawet olimpijskie. Mniej o tym, jakim wysiłkiem osiągnęli wyniki, jakie musieli pokonać przeszkody zewnętrzne i wewnętrzne, ile razy zmuszali samych siebie do nadludzkiego wysiłku. Ostatnia książka Wincentego Zdzitowieckiego „Niemoc mnie porusza” traktowała właśnie o tych ludziach. Bardzo dobrze, że kilka tekstów z tego tomu zostało przypomnianych. Mnie przejął przygotowany jako słuchowisko monolog człowieka, który doznał paraliżu, przebywa sam w domu i ma świadomość, że nie jest w stanie wezwać pomocy. To słuchowisko pod tytułem „Strzał” dostało nagrodę Radia Zachód w Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Z. Morawskiego, ale nie wiem, czy było emitowane.

Zdzitowiecki pisał również wiersze. W nowej książce mamy ich wybór. Tu przytoczę jeden pod tytułem „Pragnąłbym być Cyprianem”, oczywiście z odniesieniem do Norwida:



*tęsknię
za odbiciem się
do nieba
wydzieram pióra
współczesnym poetom
i lecę
po zakupy codzienności.*

Ot, marzenia i rzeczywistość.

Pani Elżbieta Zdzitowiecka oraz zespół redakcyjny pod kierunkiem Edwarda Jaworskiego, dyr. Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Zbigniewa Herberta, książką „Pisanie światłem” uchroniły dorobek Witka od zapomnienia. Dziękujemy.

Krystyna Kamińska

Wincenty Zdzitowiecki „Pisanie światłem”, Wydawca: Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wlkp., Gorzów Wlkp. 2012, 160 s.

MOJA DROGA GŁUPOTO

Skoro jesteś tak powszechna, jak mniema większość ludzi, to na pewno masz swoje racje mądrze ukryte poza naszym rozumem, podświadomością i działaniami. Przyznaj się, jakie to racje? Robimy głupstwa, kiedy jesteśmy młodzi, zaawansowani wiekiem i całkiem starzy. Masz popleczników zarówno w przyjaciółach jak i wrogach, w obrońcach pokoju i w terrorystach. Jesteś aktywnym wrzuszaczem sumienia oraz składnikiem obojętności, bogactwa, biedy, mądrości i... głupoty. Właśnie – ile głupot może mieścić się w jednej, większej lub mniejszej głupocie? W ciekawości, radości lub smutku? W upływającym i napływającym czasie, czyli w życiu? A w śmierci, gdy się ją z głupoty sprokuruje? Nie ma ciebie chyba tylko w nicości, bo tam już niczego nie ma, choć fizycy twierdzą inaczej. Czyżbyś była i poza nami, tam gdzieś w zaświatach? Zdażyłaś opanować cywilizacje, których ledwie się domyślamy? Pojmuję – działasz na zasadzie przeciwnieństw; jeżeli mądrość to i głupota. Ktoś już chyba napisał pochwałę głupoty? Czas zatem kończyć, by nie wpaść w koleiny. Pozdrowienia dla głównego z twoich mężów – Opatrzności. Współpracując ze Szczęściem, broni nas przed skutkami zbytniego zaprzyjaźnienia się z tobą. Chociaż od rozumu można odchodzić również i ze szczęścia. I trafić w twoje ramiona. Odpisz. Czekam na jakieś dopowiedzenie. A najlepiej przyślij zdjęcie. Tylko żeby nie okazało się, że to znowu lustrzane odbicie mojej fizjonomii i stylu bycia. Pozdrawiam! Całuję! Pa! Pa!

Twoją wielbiciel – Witek Ostrożny

Gorzów, 31.12. 2006 r.

Życie muzyczne przed filharmonią

W maju obchodziliśmy pierwszą rocznicę istnienia gorzowskiej filharmonii. Jubileusz to skromy, ale z tej okazji ukazała się książka pod tytułem „**Droga do filharmonii**”. W zasadzie jest to przyczynek do historii Gorzowa, a traktuje o muzyce w życiu miasta.

Robert Piotrowski, redaktor całości, przygotował część pierwszą o muzyce w dawnym Gorzowie, czyli niemieckim Landsbergu. Mieszkańcy wybudowali wtedy gmach teatru, a nie filharmonii, ale tam muzyka była obecna na równi ze słowem. W 40-tysięcznym mieście utworzono takie stanowiska jak miejski dyrektor muzyczny czy kapelmistrz teatru. Tu działało 9 chórów, kilka orkiestr, tu żył Carl Teike, twórca setek marszów wojskowych.

Po zmianie mieszkańców w 1945 roku kroniki miasta Gorzowa zapisują co najmniej trzy inicjatywy utworzenia orkiestry symfonicznej. Odbyło się kilka koncertów. Muzyków i entuzjastów takich orkiestr w mieście wystarczało, gorzej było z pieniędzmi na utrzymanie zawodowego zespołu. Żadna nie przeszła próby czasu. O tych dążeniach i marzeniach pisze historyk Dariusz Rymar.

Potem nastał socjalizm i ogłoszenie Gorzowa miastem robotniczym. A czy robotnikom potrzebna jest filharmonia? Na to pytanie zawsze była jedna odpowiedź: nie. Tymczasem w Zielonej Górze, wtedy w mieście znacznie mniejszym, ale wojewódzkim, początek polskiej filharmonii datuje się na 1956 rok. W Gorzowie nawet w okresie samodzielności, czyli przez blisko 24 lata istnienia województwa gorzowskiego, nikomu z rządzących nie przychodziło do głowy powołanie filharmonii. Taką instytucję uznawano za atrybut wyłącznie dużego miasta, a Gorzów zawsze był średnim. Ale mimo programowego ograniczenia, kwitło u nas ciekawe życie muzyczne. Ton nadawały orkiestry dęte, były: wojskowa, stilonowska, kolejarska, strażacka, były zespoły rozrywkowe, big-bandy, w latach 70. wybuchły zespoły młodzieżowe, z których wyszła Krystyna Prońko i jej bracia, niemal w każdej szkole istniały chóry. To żywiłowe budzenie się inicjatyw muzycznych od lat 50. do 90. domaga się oddzielnych badań, jeszcze nieprzeprowadzonych. Najdłużej, bo od 1973 roku do dziś, istnieje Gorzowska Orkiestra Kameralna, przez wiele lat z nazwą „Odeon”. Rozbudzenie zainteresowań muzycznych to zasługa funkcjonującej od 1946 roku szkoły muzycznej, teraz dwóch, i jednej średniej, a także przez wiele lat Społecznych Ognisk Artystycznych. Dwa rozdziały: o „Odeonie” i o szkolnictwie muzycznym, przygotowała Dorota Frączczak.

Trzeba było dopiero odważnych decyzji obecnego prezydenta, Tadeusza Jędrzejczaka, aby zbudować gmach filharmonii i powołać zespół zawodowych muzyków. Że instytucja taka była potrzebna, świadczy pełna sala na każdym koncercie oraz bogata dokumentacja pracy filharmonii w pierwszym jej roku. A i tak są malkontenci, którzy uważają, że filharmonia to fanaberia.

„Droga do filharmonii” to album z dużą ilością zdjęć i reprodukcji pism, wycinków prasowych, innych dokumentów. Świetna forma graficzna jest zasługą Roberta Piotrowskiego. I jeszcze podziękowanie dla Zakładu Utylizacji Odpadów za finansowy mecenat.

Krystyna Kamińska

Droga do filharmonii – Wydawnictwo okolicznościowe z okazji 1 rocznicy działalności Centrum Edukacji Artystycznej – Filharmonii Gorzowskiej, oprac. red. i układ całości – Robert Piotrowski, fotoedytor Daniel Adamski, Wydawca Filharmonia Gorzowska 2012, s. 104



Sens życia w kaloszach

Książka, o której dziś opowiem, była dla mnie niezwykle niespodzianką. Od lat zajmuję się życiem literackim Gorzowa i regionu, mam kontakty z wszystkimi, jak mi się zdawało, ludźmi pióra, wiem co wydali, nad czym pracują. A tymczasem dopiero niedawno

dowiedziałam się o istnieniu autora z Gorzowa, który podpisuje się jako Wawrzyniec Pruski i który w 2007 roku w znanym wydawnictwie poznańskim „Zysk i Spółka” wydał książkę pod tytułem „**Jędrne kaktusy**”. Dziękujemy Renacie Ochwat za odnalezienie tego autora i ujawnienie go środowisku literackiemu naszego miasta. Rzeczony Wawrzyniec Pruski, który nie ukrywa, że naprawdę nazywa się Paweł Klimczak, jest wysoko postawioną osobą w Lubuskim Urzędzie Wojewódzkim i zapewne niewielu jego podwładnych wie, że ma tak znakomite poczucie humoru. Bo „**Jędrne kaktusy**” tryskają humorem. Przygoda z literaturą, choć zapewne autor jeszcze o tym nie wiedział, zaczęła się dla niego jesienią 2004 roku. Wtedy zaczął pisać swój blog. A gdy firma Onet zorganizowała konkurs na najlepszy blog 2005 roku, pierwsze miejsce zajął właśnie Wawrzyniec Pruski. Bartek Chaciński napisał, że to modelowy internetowy pamiętnik, a Krystyna Kofta – tu cytuję: „Dobra, dojrzała literacko forma, zabawna, czasem zaskakująca treść, dopasowane fotografie, indywidualny język. Bez agresji, za to z dużą dozą humoru”. Sukces blogu przełożył się na propozycję wydania wpisów w książce. No i poszła w całą Polskę, Gorzów omijając bokiem.

Wawrzyniec Pruski vel Paweł Klimczak opowiada o życiu codziennym swojej rodziny, a bohaterami głównymi są Dziedziec, czyli jego mały syn, a później Potomka, czyli córka. Najpierw poczęcie, według Kofty opisane jak w dobrej literaturze angielskiej, potem urodziny, wreszcie kolejne etapy życia dzieci i relacje z rodzicami to opowieść jednocześnie zwyczajna i niezwykła. Niezwykła ze względu na język, sposób zapisu, lekkość stylu i świetne słownictwo. A oto fragment rozdziału „Sens życia według Dziezdica” jako próba stylu.

„Dziedziec w wieku 19 miesięcy sens życia niespodziewanie odnalazł. Otóż owoc miłości Pruskich postanowił, że każdą chwilę warto poświęcić na stepowanie w nowych, błękitnych kaloszach po kałużach. Dziedziec udomowiony przytula kalosze i śle tęskne spojrzenia za okno. Puszczony zaś wolno, błyskawicznie lokalizuje najbliższą kałużę i przemieszcza się w jej kierunku, popiskując opętańczo gumowymi podeszwami. Wkroczywszy na terytorium o satysfakcjonującym poziomie wilgoci, Dziedziec wygląda niczym miniaturowy kapitan Kusto spuszczonego na dno Rowu Mariańskiego.”

„**Jędrne kaktusy**” świetnie się czyta. Pyszna to lektura nie tylko dla rodziców małych dzieci. Niestety, gorzowska biblioteka tym tytułem nie dysponuje.

Krystyna Kamińska

Wawrzyniec Pruski, „Jędrne kaktusy”, Zysk i S-ka. Poznań 2007, s. 312



Gorzów Wielkopolski 2012/2013 r.

Regulamin

I. ORGANIZATOR

Klub Myśli Twórczej „LAMUS” w Gorzowie Wlkp.

II. PATRONAT

Zarząd Główny Związku Literatów Polskich

III. CELE KONKURSU

- inspirowanie i popularyzowanie twórczości literackiej,
- stwarzanie piszącym możliwości szerszej prezentacji twórczości,
- odkrywanie talentów i pozyskiwanie wartościowych utworów literackich,
- upamiętnianie postaci jednego z najwybitniejszych gorzowskich literatów – Zdzisława Morawskiego,
- promowanie środowiska twórczego oraz miasta Gorzowa.

IV. ZASADY UCZESTNICTWA

1. Konkurs ma charakter otwarty, mogą wziąć w nim udział zarówno członkowie związków twórczych, jak i osoby niezrzeszone.
2. Warunkiem uczestnictwa w konkursie jest nadesłanie utworów literackich w jednej lub obu kategoriach:
– poezja – do 4 utworów; proza – do 2 utworów (nowela, opowiadanie) – jeden tekst prozatorski nie może przekroczyć 20 000 znaków.
3. Organizatorzy nie ograniczają tematyki prac.
4. Nadesłane utwory nie mogą być przed rozstrzygnięciem konkursu publikowane ani nagradzane w innych konkursach.
5. Prace konkursowe (wyłącznie w maszynopisie w 4 egzemplarzach, opatrzone godłem) należy nadesłać na adres: Klub Myśli Twórczej „Lamus”, ul. Sikorskiego 5, 66-400 Gorzów Wlkp.
6. Na kopercie należy umieścić dopisek „KONKURS LITERACKI”.
7. Nazwisko, imię, dokładny adres, telefon, adres e-mail należy umieścić w osobnej kopercie opatrzonej tym samym godłem (pseudonimem).
8. Organizatorzy nie zwracają nadesłanych tekstów.

V. TERMINY

1. Konkurs ogłoszony zostaje w styczniu 2012 r.
2. Termin nadsyłania prac upływa z dniem 30 września 2012 r. (decyduje data stempla pocztowego).
3. Posiedzenie jury oraz ogłoszenie wyników na stronie internetowej Klubu „Lamus”, listopad/grudzień 2012 r.

4. Podsumowanie konkursu i wręczenie nagród luty/marzec 2013 r.

VI. NAGRODY

1. Prace konkursowe ocenia jury powołane przez organizatora.
2. Laureaci konkursu otrzymują dyplom okolicznościowy oraz nagrody pieniężne, w każdej kategorii, w wysokości:
– I nagroda – 1600 PLN
– II nagroda – 1100 PLN
– III nagroda – 700 PLN
– dwa wyróżnienia po – 300 PLN
3. Organizatorzy nagród nie wysyłają – należy je odebrać osobiście.
4. Utwory nagrodzone zostaną opublikowane w specjalnym wydawnictwie sygnowanym przez organizatorów. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo pierwszeństwa druku, bez honorarium dla autora.

VII. POSTANOWIENIA OGÓLNE

1. O wynikach konkursu laureaci zostaną powiadomieni mailem lub listownie i zaproszeni na uroczystość wręczenia nagród; organizatorzy nie zwracają kosztów podróży.
2. W sprawach spornych ostateczna decyzja należy do organizatorów.
3. Wszelkich informacji o konkursie udziela KMT „Lamus”, tel./fax 0/95 7 22 67 96, www.klublamus.pl, e-mail: biuro@klublamus.pl

Czasopismo literackie pod auspicjami WiMBP i ZO ZLP w Gorzowie; red. nac.: Ireneusz K. Szmidt, tel. kom. 501 520 227, tel/fax 95 729 50 80; sekretarz red.: Danuta Zielińska; współpraca: Krystyna Kamińska, Marek Grewling, Beata P. Klary. Zdjęcia: I. K. Szmidt, Z. Olchowik, archiwa wydawcy i autorów. Projekt okładki: Zbigniew Olchowik. Wydawcy: Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Z. Herberta, ul. Sikorskiego 107, tel. 95 727 70 70, e-mail: informacja@wimbp.gorzow.pl i ZO ZLP w Gorzowie, ul. J. D. Janockiego 31, 66-400 Gorzów Wlkp. e-mail.wag.arsenal@wp.pl; e-mail.zlp.gorzow@wp.pl; e-mail.i.k.szmidt@wp.pl; www.zlp.gorzow.prv.pl; Skład komputerowy: Daniel Besta i I. K. Szmidt.



TADEUSZ SZYFER – fraszki**STARE i NOWE****Położenie Gorzowa**

W siedem wzgórz – tak jak w Rzymie
– darzy nas Natura:
trzy pagórki, trzy urzędy i Zielona Góra!

Zaleta

Nasze nowe logo zwłaszcza tym się chwali,
że brzmi: Gorzów Przystań – i już nie idź dalej.

CO TAM PANIE W POLITYCE...?**O kompetencjach**

Politycy winni zająć się reklamą.
Kłamią tak samo.

Na nuworysza

Jedyna jego kultura,
by szybko obrosnąć w pióra!

Siła opozycji

Chyba czas umierać, bowiem po co mi to,
żeby rząd na baczność stawał przed łachmytą?

Par-lament

Niektórym posłom szczególnie głowy
należy zakryć... listkiem figowym!

Koleiny losu

Chyba się rozdzieli – tak tej partii wróżę
i będzie wyglądać tak, jak jest w naturze.

Omnibuc

Zwykły wstyd – dla niego – to nieznanym temat,
choćby dlatego, że za grosz go nie ma!

NIEMORALNE**Propozycja reklamowa**

Znacznie wzrosłaby klubowa kiesa,
gdyby piłkarki grały... w toplessach!

Krawieckie szyki

Wśród zgrabnych panien bywają przypadki,
gdy ściągną dzinsy – opadną pośladki!

Terapia

Była tak piękna, kojąca, oddana,
że aż przyłożyć ją – do rana!

Życzenie

Trzeba by zmienić w naszej naturze,
by to co wisi – było wciąż w gorze.

Prognoza

Przyszłość mężczyzn rysuje się w czarnych kolorach:
stanie chłop za mebel i reproduktora...

Ferdynand Głodzik**Anatomia miłości**

Myśl o tobie zżera noce i poranki,
wypełniłaś w stu procentach moje tkanki.
Ginę z żalu i tęsknoty jak pies zbity,
nie wygrają takiej wojny leukocyty!

Krew przemyka poprzez żyły i tętnice,
skurcz blokuje moje gardło i tchawicę,
stres potworny wszystkim członkom się udziela,
protestują oskrzeliki i oskrzela.

Ja goreję, a tyś wciąż nieporuszona,
tonie w żalu jama brzuszna i przepona;
nakręcone na miłosne chwile wzruszeń,
żywiolowym ogniem pali się podbrzusze.

Może skiniesz i wyświadczysz mi tę łaskę,
trzeszczą kości długie, krótkie oraz płaskie.
Mów! Cokolwiek by to było, zniosę mężnie,
drgają mięśnie czworogłowe i okrężne.

Chciałbym wierzyć w twą łaskawość i być pewnym,
wyślij sygnał do gruczołów mych dokrewnych.
Już nie mogę ani chwili czekać dłużej,
niepokoi się tarczyca i podwzgórze.

Nie bądź głazem, okaż wreszcie uczuć krzynkę,
uradujesz mi nadnercze i szyszynkę!
Czy uważasz, że wyłącznie z mojej winy
zawaliłaś ten egzamin z medycyny?

*Wiersz „Anatomia miłości” – zdobył II nagrodę w Bielskim
Ogólnopolskim Konkursie Satyrycznym 2012.
Oto link: <http://migielicz.pl/?p=12953>*



*Ongiś Centrala Rybna, dziś Galeria Beżbronna na Nocnym
Szlaku gorzowskiej Kultury. Foto: Daniel Aua Adamski*